

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobięcy

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 28 STYCZNIA 1928 ROKU

NR 5

TREŚĆ NUMERU: Szkoła a współczesność — *Natalja Jastrzębska*. Niewyczerpane źródło — *Dr. Herminja Naglerowa*. Wiersze: „Wiersz cichy”. „Cudzej narzeczonej” — *Jan Szczawiej*. Przygody błękitnych możliwości — *M. H. Szpyrkówna*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Kobieta w epoce Odrodzenia — *Paula Lamowa*. Kronika plastyczna — *I. j. Z książek* — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S. i N. J.* Młodzież w świetle badań psychotechnicznych — *Piotr Macewicz*. Estetyka robót ręcznych — *Wanda Młodożeńcowa*. Ekonomiczne opalenie — *Inżynier Tadeusz Ingwer*. Psia dola u nas i gdzieindziej — *H. S.* Zasady dobrego wychowania — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek: „Mody i Roboty”. Przy sportach zimowych — *Well*. Haft norweski. Dodatek powieściowy: „Kłęska mrozu” — *Monteiro Lobato* — przekład z portugalskiego *J. Świerczewskiej*. Arkusz wzorów.

SZKOŁA A WSPÓŁCZESNOŚĆ

Książka polska o reformie szkolnej w Niemczech

Jeżeli zastanowimy się nad istotą wychowania młodzieży i rolą szkoły na tle tego zadania, musimy dojść do wniosku, że szkoła — dając pewną sumę wiedzy i wskazówek jej zastosowania — musi jednocześnie przygotować swych wychowanków do czynu życiowego, a nadto — rozwinąć ich duchowo tak, aby ten czyn przyszły nie był mechanicznym spełnianiem jakichkolwiek naukowych, czy życiowych nakazów, lecz twórczą, samodzielną pracą własną.

Połączenie teorii wiedzy z ich zastosowaniem praktycznym, wyrobienie indywidualności, obok jednoczesnego poszanowania i podporządkowania się prawom zbiorowości społecznej — to ideał wychowania.

Dążyły do tego wszystkie racjonalne systemy szkolne poprzez całe dzieje ludzkości — nigdy jednak wymogi tych zasad nie zarysowały się tak wyraziście, jak w chwili obecnej.

Ogromny rozwój wiedzy i myśli filozoficznej, przy równoczesnym wybitnym dążeniu do jaknajgłębszego przewartościowywania wszelkich teorii, i przy skomplikowaniu materialnych zadań życiowych — poruszyły od dna do szczytów zasady wychowania. Przyczem na plan naczelny zaczyna wysuwać się idea, że — tak, jak powiedział Mochnacki — iż „naród powinien uznać się w swem jestestwie”, tak dziś za pod-

stawę wychowania przyjąć musimy uznanie się w swem jestestwie młodzieży.

Nie jako naładowanie głowy ucznia daną sumą wiadomości i nie tylko wyuczenie go praktycznego dawania sobie rady w życiu, lecz wychowanie jednostki, znającej kulturę swego społeczeństwa, rozumiejącej siebie na tle tej kultury i zdolnej do tworzenia w niej i dla niej realnych wartości, mocą doskonale wykształconej i zrównoważonej indywidualności własnej.

Przy takim pojmowaniu zadań wychowawczych zmienić się musi zasadniczo i sama istota szkoły.

Wobec szybkiego tempa dzisiejszego rozwoju wiedzy, szkoła nie może być — jak dawniej — świątynią, w której wykładane byłyby niewzruszone dogmaty nauki, lecz musi stać się przybytkiem zapoznania się z kulturą i stacją doświadczalną wychowania. Są narody, które oddawna wyznawały w swych systemach szkolnych tę właśnie teorię — w ramach ogólnego rozwoju kultury danej epoki: — należy do nich Polska ze swymi chlubnymi tradycjami Komisji Edukacyjnej. — Są inne — które poszły albo wyłącznie w kierunku praktycznym — jak Ameryka, lub polityczno-państwowym — jak Niemcy przedwojenne, u których szkoła była hodowlą urzędników i mechanicznie kształconych, wiernych poddanych cesarskiej władzy Hohenzollernów.

Ale przyszła wojna, przyszedł olbrzymi przewrót państwowy, polityczny i społeczny, i oto właśnie w łonie narodów pobitych nastąpiło zasadnicze prze-wartościowanie zadań i celów szkolnictwa, dążenie do gruntownej reformy całej istoty wychowania swych obywateli.

I podczas gdy narody zwycięskie okazały się naogół konserwatywne, mało lub nic nie zmieniające w swym ustroju szkolnym po wojnie — zwyciężone Niemcy dokonały prawie odrazu gruntownej reformy swoich szkół.

Sprawa tej reformy, która interesuje nas podwójnie — ze względów zasadniczych, pedagogicznych i politycznych — była nam ogólnie wiadomą, referowaną zarówno w ministerstwie W. R. i O. P., jak i w szeregu prywatnych sprawozdań w różnych środowiskach nauczycielskich; najpełniejszy jednak wyraz sprawozdawczy i ocenę krytyczną znalazła w świeżo wydanej pracy p. Bohdana Suchodolskiego: „Reforma Szkolnictwa Średniego w Niemczech“.

Jest to książka tak niezmiernie ciekawa, ujmująca poruszany temat tak jasno, głęboko i syntetycznie, że nie będzie przesadą ocenienie jej, jako jednej z najlepszych prac pedagogiczno-krytycznych ostatniej doby.

Pracę tę poznać powinien każdy, komu leży na sercu sprawa wychowania młodzieży. Znajdzie w niej świetną charakterystykę współczesnych przemian w teorjach nauki i krytyki wogóle, a zasad pedagogicznych w szczególności; niezmiernie przejrzyste zobrazowanie całokształtu reformy szkolnej w Niemczech, stosunek do niej różnych odłamów społecznych, i ważką, bezstronną jej ocenę.

Reforma szkolna w Niemczech, przeprowadzona w latach 1923 — 25, dotknęła zarówno ustroju szkolnego, jak i programów.

W ustroju szkolnym przyjęto system gimnazjum wyższego, ale nie dla zasady, jak to projektowane jest u nas — demokratyzacji szkoły wyłącznie, lecz dla innych zupełnie celów. Chodzi mianowicie o to, aby te dzieci, które, nie poprzestając na szkole ludowej, będą kształcić się wyżej — pozostały jednak jaknajdłuższy okres czasu w swoim otoczeniu, na wsi, lub na prowincji — co jest dla nich zdrowsze fizycznie i duchowo; aby wstępowały do gimnazjów w większych miastach w starszym już wieku, nie po 4-ro, lecz po 7-letnim pobycie w szkole własnej, wśród rodzinnego środowiska tak, aby wyrobić i utwalić

mogły w swym charakterze właśnie wszystkie tego środowiska właściwości i walory! Bardzo ciekawe do wypróbowania uznanie wartości różnic między środowiskami prowincjonalnymi, a kosmopolitycznym społeczeństwem wielkomiejskim!

Drugą ciekawą zasadą ustroju szkolnego, z którą szkolnictwo nasze, cierpiące na brak uczelni zawodowych, zapoznać się powinno, są szkoły średnie — nie prowadzące do uczelni wyższych, lecz przeznaczone dla młodzieży, nie pragnącej i niezdolnej do zajęcia w życiu stanowisk naukowych i kierowniczych, — dla rękodzielników, przemysłowców, handlowców, urzędników komunalnych itp. Nie są to, jednak, szkoły rękodzielnicze, lecz t. zw. „Mittelschule” różnych zawodów, dające znacznie więcej przedmiotów ogólnokształcących, niż nasze np. szkoły zawodowe, powiązanych tylko z określonym zawodem, z elementami jego historii i kultury.

Najbardziej jednak rewolucyjną nowością w ustroju szkoły jest typ t. zw. „Deutsche Oberschule”, szkoły, której cały ustrój i program wypełnia zadanie ujawnienia i wzmocnienia wszystkich sił ducha narodowego w jego prastarym, germańskim charakterze.

I nie jest to nawet wcale — zdaniem p. Suchodolskiego — szkoła w zasadach swego powstania szowinistyczna, choć może być łatwo do tych celów wykorzystana, lecz istotnie ideowa w filozoficznym i kulturalnym znaczeniu tego słowa.

Obok tych typów nowych, ustawa pozostawia jednak i typy dawne: gimnazjum klasycznego, humanistycznego itp., a wogóle odznacza się tolerancyjnością wobec wszelkich typów, w myśl zasady, że szkoła powinna być jednolita — t. j. dostępna dla wszystkich, ale bynajmniej nie jednako-za, zacierająca różnice psychiczne warstw i jednostek. Nie może być w niej jedynie różnic krzywdzących — wszelkie inne są dopuszczalne i korzystne.

Tak samo ważne i szeroko zakreślone są zasady programowe, aczkolwiek dla nas niema tam wiele nowego, prócz tego może, iż duch programów niemieckich idzie w kierunku najnowszych koncepcyj wiedzy i reakcji przeciw prymitywizmowi, przeciw genetycznemu wyprowadzeniu jednych faktów z drugich — uznając natomiast zasadę odrębności i spontaniczności przejawów życia duchowego w różnych epokach. Rzecz prosta, iż w logicznym następstwie tej zasady żądają programy gruntownego zapoznania ucznia z budową wewnętrzną i duchem różnych epok kultury. Co było u nas, przy genetycznym nawet w różnych

gałęziach wiedzy punkcie widzenia, stosowane od dawna, a co w szkołach niemieckich, przeładowujących przed wojną głowy uczniów swych faktami — jest dużą nowością.

Drugą nowością jest bardzo wybitne zorientowanie programów w kierunku współczesności — gruntowne omawianie nie tylko obecnego ustroju państwa i społeczeństwa, ale zapoznanie uczniów i dyskusowanie z nimi wszelkich obecnych prądów społecznych i politycznych, czytanie dzienników itp. Rzecz, którą wprowadziła obecnie i Danja.

Duży nacisk kładą też programy na wykształcenie filozoficzne, w myśl faktu, że filozofia stała się dziś niezbędnym składnikiem każdej, poważnie uprawianej nauki, zajmując wybitne miejsce w życiu umysłowym, jako podbudowa każdego światopoglądu. Dla młodzieży zaś starszej dyskusje filozoficzne stanowią znakomite ćwiczenie logiki, jasności i ścisłości myślenia i wyrażania się.

Rozszerzono również wydatnie program wykształcenia estetycznego i tu zastosowano nowe zupełnie zasady. Niema mowy o klasyfikacji, tak często stosowanej u nas, że dzieci, niezdolne np. do rysunków, odsyła się na lekcję śpiewu, i odwrotnie. Tak lekcje rysunku, jak muzyki dają obraz rozwoju danej sztuki, zapoznają z jej arcydziełami, przyczem rysowanie, lub śpiew służą tylko jako środek pomocniczy do przedmiotu.

Program wychowywania przez poznanie sztuki realizowany jest na prowincji przy pomocy reprodukcji artystycznych, radja; w miastach większych — przez jaknajczęstsze obcowanie z dziełami sztuki w galerjach, muzeach, na koncertach, dla zapoznania młodzieży z jaknajwiększą ilością tych dzieł.

Ogólną zasadą przedstawienia całego programu jest wykorzystanie w wykładach licznych szeregu punktów widzenia, a więc: historycznego, socjologicznego, kulturalnego, współczesnościowego, etycznego, systematycznego i t. p. Przyczem pierwsze miejsce zajmuje nie historia, literatura i t. p., lecz nauka o kulturze, a w „Deutsche Oberschule“ zwłaszcza całość powinna nieustannie wykonywać i podkreślać przejawy kultury i ducha narodowego we wszystkich kierunkach.

Olbrzymi ten program, prowadzący „na oko“ wprost do przeładowania umysłów młodzieży, przedstawia się jednak, przy bliższym zbadaniu, przystępnie, wobec zerwania z metodami pamięciowymi i uczeniem faktów, wprowadzenia szkół pracy i bardzo szeroko zakreślonej zasady koncentracji. Przytem zostawiono

nauczycielstwu zupełną swobodę tworzenia różnych grup uczniów, interpretowania planów i rozłożenia materiału tak, że często w tych samych klasach różnych szkół przechodzi się zupełnie co innego.

Ministerstwo oświaty określa tylko linje wytyczne, zapatruje się zaś jaknajbardziej liberalnie na różne typy szkół i próby realizowania programów, otaczając opieką wszystkie, najśmielsze nawet poczynania w tym zakresie.

Tak przedstawia się w książce p. Suchodolskiego ustawa szkolna niemiecka, podjęta w myśl zasady, wyrażonej we wprowadzającym ją w życie rozporządzeniu pruskiego ministra oświaty, że „jest prawem żywota narodów, iż co pewien czas szukać muszą samych siebie“.

W zakończeniu zwraca autor uwagę głównie na jedną zasadniczą cechę reformy niemieckiej: na jej tolerancyjność w stosunku do różnych typów szkół. Postulat różnorodności szkolnictwa uważa p. Suchodolski za ognisko każdej polityki oświatowej i wychowawczej.

Wśród młodzieży szkolnej istnieją różnorodne typy psychiczne, wychodzi ona z najrozmaitszych środowisk, różnie urabiających zaczątki jej poglądów, i dlatego racjonalne zasady wychowania dążyć muszą do stworzenia różnych typów szkół. Cała, bowiem, kultura współczesna żyje różnorodnością. „Życie nie stoi w miejscu. A szkoły nie mogą być Okopami Św. Trójcy: muszą być placówkami Jutra!“

To, co jedynie zarzucić mogę z osobistego punktu widzenia pracy p. Suchodolskiego, to wyłączenie w samym pojmowaniu wychowania uwzględnianie młodzieży męskiej. — Chłopiec, chłopcu, chłopcy — i t. p. powtarza się na każdej stronie książki, tak, że robi to wrażenie, jakby dziewcząt wogóle w szkole niemieckiej nie było. Autor, który pracę swą oparł na osobistym gruntownym poznaniu szkół niemieckich, wiedział zapewne tylko szkoły męskie; ale nie o to nawet mi chodzi, lecz o zasadnicze ujęcie sprawy szkolnictwa przez „chłopca“, a nie ogólnie — przez młodzież. Takie stanowisko wytworzyło też w pracy lukę: — nie wiemy nic o tem, jak traktuje reforma sprawę szkół żeńskich, czy istnieje jakaś odrębność programów i t. d.

Pomimo tego drobnego niedociągnięcia, jest to książka wyjątkowo wartościowa. Myśl filozoficzna młodego uczonego obejmuje bardzo szerokie horyzonty, stawiając zagadnienia kultury na platformie, uwzględniającej niezmiernie głębokie i ciekawe prądy współczesne.

Natalja Jastrzębska.

Dr. HERMINJA NAGLEROWA

NIEWYCZERPANE ŹRÓDŁO

„Elegje i inne pisma” Stefana Żeromskiego

Wielka jest spuścizna po Żeromskim, gdyż wielki i ważny był stosunek jego do polskiego życia. Od ukochania piękna naszej ziemi, aż po wskazania społeczne rozciąga się ta olbrzymia skala uczuciowa i myślowa. W zamkniętej przestrzeni kompozycji, czy w wyrwanym strzępku życia mieści się ten rozległy obszar spraw artysty i mądrego człowieka.

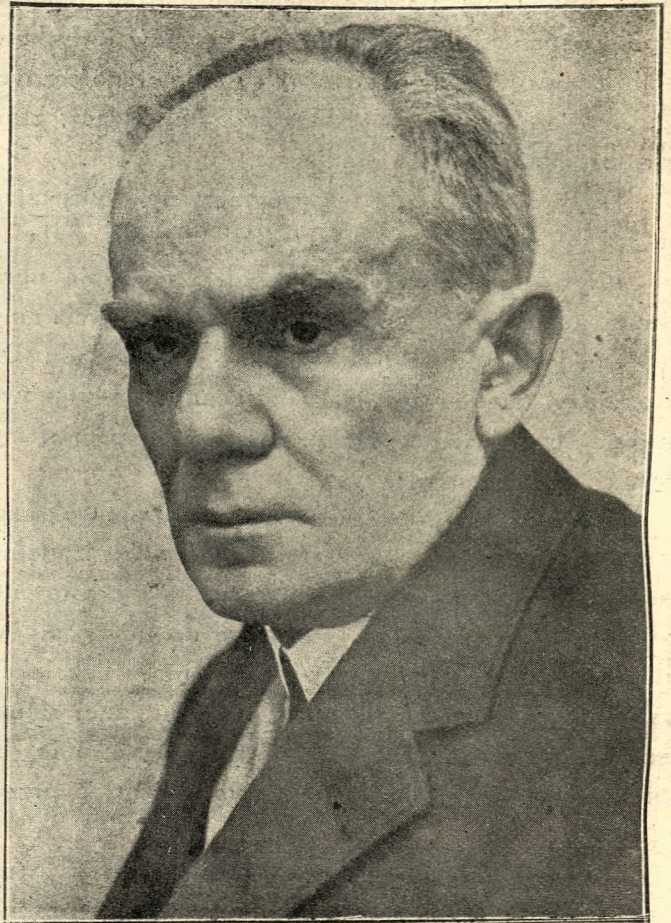
Z domniemanego romantyzmu pisarza, z „utopizmu” jego projektów czerpać nam więc przyjdzie przez długie dziesiątki lat. Bo wyprzedzająca myśl geniusza, w niemal gotowej organizacyjnie konstrukcji — podała nam trudne zagadnienie: wolności i pracy. Jedno i drugie wyrość winno na glebie zdrowej ambicji narodu. Stąd też zaleca Żeromski śmiało reformatorskie poczynania, odważne zrywanie z nawykami złej tradycji, tępienie szkodliwego snobizmu i wieczystą pamięć ofiarnego czynu.

Nie były to improwizacje poety, zawieszane między niebem, a ziemią, gdyż syntetyczny umysł wielkiego pisarza wywodził z miazgi polskiego bytowania świetne i ściśle skonkretyzowane programy.

W pośmiertnym wydaniu okazałego zbioru drobnych utworów i artykułów Stefana Żeromskiego*) ujawnia się właśnie ta trwała ciągłość ideowa pisarza. Znajdujemy w tych pismach tesame motywy rozlicznych zagadnień, tensam płonący entuzjazm czynu i, mimo wszystko, optymistyczną wiarę w możliwość rychłego przeobrażenia się psychiki narodu. Trzeba więc uznać zasługę wydawcy J. Mortkowicza i solidną, a niełatwą do wykonania pracę Wacława Borowego, gdyż dzięki im „Elegje i inne pisma” Stefana Żeromskiego, zebrane i podane czytającemu ogółowi, spełnią swoje zadanie, zarówno literackie, jak i społeczne. Dziś, bowiem, gdy stoimy może już na progu świata, który wieścił Żeromski, należy wskazać to głębokie źródło, dające życie dniu jutrzejszemu.

Jakże charakterystyczne dla Żeromskiego są te liczne odezwy, w których rozmaite sprawy są jednako ważne! Czytamy tam: „Trzeba otoczyć to dzieło (Port w Gdyni) pospólną miłością. Trzeba je za dnia i w nocy budować wszystkimi ziemiami i całym narodem”. Czytamy: „W wolnym państwie polskim nauka nie może być wyżebrana, podpatrzona, prze-

*) Stefan Żeromski: „Elegje i inne pisma literackie i społeczne” — przygotował do druku Wacław Borowy. 1928 Warszawa - Kraków — Wydawnictwo J. Mortkowicza. Nakład „T-wa. Wydawniczego w Warszawie” str. 425. Z portretem autora i podobizną ostatnich rękopisów.



Stefan Żeromski

mycana; musi być polska. Nauka — to przeczyste, wysokie jezioro w górach, niebios, nieskończoność odbijające, musi być nasze, własne, ojczyste!” (Sprawa Kasy im. Mianowskiego).

Odezwy te, pisane w intencjach kulturalnych, państwowotwórczych, narodowych i humanitarnych — są niby zwierciadłem ducha i serca Żeromskiego. Nawoływania wskazują na niezliczone potrzeby, nędze i biedy. Apelują niemal częściej do rozumu, niż do serca. I to jest właśnie ciekawe, jako dowód, iż Żeromski nie w jałmużnie widział miłosierdzie, ale w czynie, praktycznie i dobrze obmyślanym.

W artykule „W brzasku przedwiośnia” gra szeroką fugą optymizm pisarza, ufność we własną siłę narodu, która jest „wewnątrz koliska”. Później, w powieści „Przedwiośnie”, znajdziemy niemal tesame słowa o ogromie realnych prac, czekających nas w wolnej ojczyźnie. Ale właśnie w tym artykule (pisanym zapewne w roku 1915) Żeromski, jak nigdzie w żadnym

ze swych dzieł, określa zadanie i stanowisko kobiety w dokonywaniu pospólnego dzieła:

„...z całym naciskiem musimy się już dziś odwołać do pracy kobiecej. Wydaje mi się, że kobiety powinny przygotować się i organizować, zdając sobie sprawę z tego, co je czeka. Nieliczne mogą oczekiwać na mężów - żywicieli nie tylko samych siebie, lecz i rodzin całych. Tyle wśród nich posiadało wykształcenie wyższe lub średnie. One to, jak sądzę, powinny już dziś układać plan przyszłej pracy, której jest nieprzebrany ogrom. Czekają na nią cały świat dzieci, które trzeba od zguby ratować, ażeby plemię nie skarłało, chować i kształcić. Czekają na nią handel, który trzeba tworzyć od początku do końca i uczynić czysto polskim. Jak dziś niema tutaj jednego strzępka, któryby się na miejscu wytwarzał, tak w przyszłości nie powinno być jednego strzępka, któryby tu zzewnątrz przychodził. Kobiety to nadewszystko powinny zabrać się do zbadania niezrównanego systemu kooperatyw nie tylko spożywczych, lecz także i wytwórczych, które powinny właśnie zaszczyć i rozwinąć. Ogrodnictwo, produkcja i zbyt przetworów nabiału, sprawa najodpowiedniejszego odzienia dla ludu, warsztaty i małe fabryki, gdzieby się wytwarzało wszystko, co jest niezbędne do kulturalnego życia prostego w Polsce człowieka — oto są zadania, które na ręce kobiece, na pomysłowość, wyrafinowaną inteligencję i subtelność kobiecą czekają“.

Pisząc o „Elegjach” w piśmie kobiecym, koniecznym wydało mi się zacytowanie tego rozdziału i zwrócenie uwagi na ujęcie przez Żeromskiego typu nowoczesnej Polki. Powinnyśmy wiedzieć, jaki był stosunek Żeromskiego do tak ważnego i żywotnego zagadnienia, i jakie miejsce wyznaczał wielki pisarz kobiecie przy warsztacie odbudowy ojczyzny.

Okazuje się, więc, że niczego nie ominął, każdy objaw naszego życia rozważnym objął namysłem. Jako pisarz i, w pierwszym rzędzie — artysta, niósł inicjatywę w dobrze zrozumiałem, potężnym, sugerującym słowie.

Przemawiał prosto, bez ukrywania przykrych prawdy. Budził opieszłych, dając im swoje wymarzone obrazy przyszłej, dobrze zagospodarowanej, ojczyzny. Niby to kręcił „bicz z piasku” i budował „szklane domy”, jednak wiele z jego romantycznych projektów już wykonano, nie pamiętając wcale, ile energii w nie włożył, ile się naciępał od antagonistów. Przyczę tu choćby sprawę sprowadzenia zwłok Słowackiego i, bliską już ziszczenia, Polską Akademię Literatury. W omawianym zbiorze znajdujemy właśnie

artykuły w powyższych sprawach i polemiki, broniące ich słuszności i wykonalności.

Żeromski kładł w każde zagadnienie bezpośredni, szczery entuzjazm, każde do gruntu przemyślał i objawił w zarysach realnych. Celowość własnego życia i działania wypowiedział nawet w najdrobniejszym utworze, i dlatego każdy utwór staje się ważny i potrzebny.

A przecież musiał Żeromski swoją, tak wiele dźwigającą, celowość sam w sobie wywalczyć, wydobyć ją z czarnych smutków samotnictwa. „Dwa są etapy wydźwigania z nizin samolubstwa — czytamy w notatkach, pisanych niemal w przeddzień śmierci — i z zasieków sofistyki egoizmu na wysokość cnoty: mężne narażenie życia dla honoru i znoszenie cierpień w milczeniu, znoszenie ich w samotności ducha, poza wiedzą współbraci i współsióstr, w obrębie swego jestestwa.“

Z tych to wewnętrznych walk i triumfów musiał powstać wstręt do wszelkiego szablonu i zdolność przełamania linii nawet największego oporu. Sprawiedliwość i miłosierdzie nie mogło mieć nic wspólnego z lekko wypowiedanym frazesem. Żeromski dochodził bowiem do tych pojęć, zwalczając szatana drogą najuciążliwszą. Nam podawał już zwycięski substrat swoich borykań. I trzeba nam tylko dobrze pojąć te proste nauki wielkiego pisarza, a pojawszy, corychlej z nich korzystać.

Prócz wszelkich kwestyj, których dostarczała chwila bieżąca w zakresie pracy, pomocy upośledzonym i wszelakich spraw, dotyczących życia intelektualnego i kulturalnego — znajdujemy w omawianym tomie cenne wspomnienia o współczesnych autorowi. Są tam przyjacielskie, wierne aż do śmierci uczucia, są śmiałe i bezstronne oceny charakterów i czynów.

Niemniej znakomite, na sumiennych badaniach oparte, są charakterystyki literackie, zwłaszcza wyborna rzecz o Conradzie Korzeniowskim.

Przyczynki do badań języka polskiego, fragmenty etnograficzne i obyczajowe wskazują na to, jak żywe zawsze było zainteresowanie Żeromskiego tą gałęzią nauki i jak wiele czasu poświęcał tej dziedzinie.

Smutny tytuł „Elegje” objął więc żywe i żyć nieprzystające zagadnienia. Sięgamy tam do istotnych początków naszego nowego świata pracy.



JAN SZCZAWIEJ

WIERSZ CICHY

*Jakże ja Tobie powiem
To słowo, co tak mnie boli,
Co ciężkim cięży ołowiem
Na cichem sercu mojem?*

*Lecz przyszłaś biała, święta,
Niebna, jak noc majowa,
Nad moim dniem stanęłaś,
Wilgotne szepcząc słowa.*

*Boję się je wymówić,
Pomyśleć o niem się lękam —
Wierzyłem, że już nie wróci
To słowo i ta męka.*

*I popłynęła przeze mnie
Twych słów kojąca smuga,
I tylko jeszcze płomienie
Bólu swą dłonią ugaś.*

*A teraz powiem. Cóż zrobię?
Dzień zły jest dziś, jak macocha —
Powiedzieć muszę więc Tobie:
Kocham!*

CUDZEJ NARZECZONEJ

*Idź spać, idź spać już, malutka,
I nie myśl ciągle tak, nie myśl
Twój dzień, oparty na smutkach,
Tak ciężki bólem był niemym.*

*I nie płacz — wiesz przecie — płaczem
Nie zetrzesz z myśli złych przeczuć
I wiedz, ja też nie inaczej
Przeżywam ciężki ten wieczór.*

*No, idźże. Patrz, tam Cię pościel
Zaciszna czeka i ciepła —
Naprawdę będzie najprościej
Zapomnieć wszystko w snu szepcach.*

*Daj spokój wszystkim tym skrzynkom,
Już przestań grzebać się w listach —
Idź spać, idź spać już, dziecinko,
Daleka taka i bliska.*



M. H. SZPYRKÓWNA

PRZYGODY BŁĘKITNYCH MOŻLIWOŚCI

Po znalezieniu się nagle na bruku olbrzymiego, huczącego New-Yorku, bezpieniężna i bezdomna Roma Znamięcka doświadczyła narazie nadzwyczaj zabawnego przez swą niespodzianą uczucia: uczucia szalonej ulgi. Była nagle wolna! Włożone w jarzmo biurowe od dawnych lat życie nagle się wyprostowało. Spojrzawszy w niebo, spostrzegła, że jest błękitne, a że nad światem świeci złote słońce. I, jak wyzwolony przypadkiem z podziemi górnik, stanęła na chwilę, olśniona światłem, oraz poczuciem, że oto spadły z niej niewidzialne, ale nad siły ciężkie łańcuchy, i może nareszcie rozszerzyć ramiona, nawykłe już tylko do ruchu od kałamarza do biurowego formatu papieru i zpowrotem.

Zwolnienie z posady nastąpiło tak nagle, że, jak ostry lancet, przecięło włókna dawnego życia wpiern, nim zdążyła odczuć ból. Miał on przyjść dopiero potem. Narazie była tylko ogłuszona. Myśl, że zostanie oto sama i nie znająca angielskiego, bez jednej życzliwej ludzkiej i polskiej duszy w tem strasliwym i pięknym, jak zaczarowana bestja, mieście:—była tak paradoksalna, że prawie zabawna. Znała głównie drogę do biura i zpowrotem do swego klubu. Klub—był to internat jakichś szarych, czy błękitnych sióstr, gdzie miała małe pokoiczki, zresztą zaopatrzone we wszystkie konieczności życiowe, a na życzenie—mogła tamże jadać. Wiekuście roześmiany szeroka paszczką murzyn, podający do stołu, wiedział już, że cudzoziemska miss nie umiała wytłumaczyć dostatecznie, czego sobie życzy na obiad; z angielskiego menu wypadały jej zwykle, jeśli się zaryzykowała niem posłużyć,—same sosy. Wobec tego, przemyskając się z półmiskami nad głową obok niej, zniżał je o tyle, aby mogła rzucić okiem na zawartość i wyróciwszy białko czarnej źrenicy na tę, lub ową potrawę, zachęcał szczególnym, międzynarodowym żargonem emigranckiego wszechbraterstwa:

— Bon, bon! Very good, miss! K a r a s z o!

Znaczyło to po francusku i rosyjsku, że danie jest pyszne; i zawierzała swemu czarnemu doradcy dość często i zwykle z dobrym skutkiem. Przez trzy tygodnie pobytu w Stanach Zjednoczonych, a właściwie — w tymże New-Yorku, zdążyła się już przyzwyczaić do amerykańskiego jadłospisu, tak znakomicie różniącego się od starokrajskiej bogobojnej kuchni, gdzie wiadomo było, że co pieprz, to—pieprz, a co słodkie, to słodkie. Tu—ananasy, orzechy i kompoty bywały poprawiane kwaśno i gorzko, cukierki wypadały solone, a mięsa pływały w słodkim sosie. Zupełnie nowa odmiana kartofli — sweet potatoes—

okazała się jednak wyborną, i niektóre inowacje amerykańskiego śniadania, jak świetne grepfruty, i obfity wybór różnych „rolls'ów“, oraz przetworów ziarnistych, godziły się z niespodziankami innych kombinacji.

Kiedy znalazła na swoim biurku zwięzły list, deklarujący, że biuro się likwiduje, i cały personel z trzydniowym wypowiedzeniem, może się uważać za zwolniony—doznała krótkiego wstrząsu, którego siłę zmierzyła tylko szumem w ogłuszonej odrazu, jak pod mocnym ciosem, głowie. Usiadła na krześle i kilkanaście razy złożyła i rozłożyła otwartą na wierzchu teczkę, zanim oprzytomniała. Fakt był tak niewiarogodny! Nie ze względu na samą treść: przez swój krótki pobyt panna od przyjmowania zażaleń (pracowała w biurze prawniczym dla Polaków w Ameryce) zdążyła poznać obyczaje Nowego Świata. W różnych wysokościach społecznych były one różne. Ale na nizinach miały zawsze jedno imię: prawo drakona. Tyle łez spłynęło przed nią z wychudzonych policzków ludzi, którzy tu, do prawnika, znosili swoje krwawe krzywdy i krwawe dolary — łązy unosząc zazwyczaj ze sobą, a dolary zostawiając wzamian za przyobiecana interwencję! Ach, wiedziała zbyt dobrze, jak dalece ta interwencja kończyła się wraz z wyjściem klienta! Do jej obowiązków należało właśnie pisanie listów o mechanicznej modle, jednej dla wszystkich, po odczekaniu dwu tygodni od przybycia klienta, aby go powiadomić, że, niestety, usilne zabiegi biura narazie jeszcze nie udały się, ale po uzyskaniu dalszej gotówki, wygraną należy uważać niemal za pewnik! Przestała również oddawna oburzać się, buntować i uważać swoich szefów za oszustów: dokoła nie działa się lepiej. Gwarancje uczciwości, jeśli już nie istotnego załatwienia sprawy, dawały jedynie konsularne placówki — ale tam długie miesiące upływały, zanim jakikolwiek papier, po obwędrowaniu wszystkich biur i szaf, ujrzał nareszcie powtórnie światło dzienne. Przytem, opłaty były kosztowne, a przyjęcie — wręcz odwrotnie, niż u prywatnych doradców — oficjalne. I emigranci, zastraszeni już i bez tego formalistyką obcokrajową, szli do pokątniaków z pewną rezygnacją rozpacz.

Biuro samo przez się było przykre. Nadole huczały motory jakiegoś elektrycznego zakładu, na przeciwko, jak szara beznadziejność, dźwigały się nieprzeliczone piętra faktorji, w której kolosalnych oknach szczękały zębami maszyny i migwały szołomiąco jednostajne ruchy zatrudnionych przy tychże maszynach ludzi. Zaś w niewielkiej, a wąskiej prze-

strzeni, pomiędzy dwoma budynkami, z hukiem latały co minuta pociski napowietrznych pociągów, napełniając dygotem mury. Głowa brzękła od różnolitego wrzasku, szczerku i hałasu, który w następstwie zlewał się w pewien rodzaj ogłuszającej kakofonii, graniczącej niejako z ciszą. Z okna trzeba było wychylić się bardzo głęboko, ażeby w przesmyku na dole, który był ulicą, dojrzeć zabawki-auta i małych ludzików, rozpędzonych, jak mrówki dokoła swego kopca. Z tego oto szesnastego piętra świezczała nadół złowroga winda, zastępująca schody. Jej migocące czerwonymi ślepiami przeloty wdół i w górę na sprężystych, jakby rozsadzonych, nadmiarem energii linach, wzbudzały w starokrajczance długi czas nieklamany lęk. Wbrew spodziewaniu, samo biuro wewnątrz było tandetnie umeblowaną budą, skleconą z kilku przepierzeń, popodpieranych biurkami, z wiecznie zdeptaną przez ordynarne buciary podłogą i słomianką w drzwiach, nie gorszą, niż u rejenta z jakiejś Koziej Wólki.

Niemniej dawało tygodniowo pewną kwotę dolarów, zapewniającą zbyt kowny apartament u pomienionych Sióstr — i murzyńskie smakołyki na obiad. Teraz pozostawała bez niczego podobnego. W Ameryce nie było sióstr, dość idyllicznie usposobionych, aby żywiły i trzymały do bezterminowych możliwości osobę cudzoziemską, a nie mającą bliżej określonych kwalifikacyj. Taką mogłyby tylko sparagrafować według odpowiednich rubryk, przewidzianych przez ścisłą dobroczynność, i polecić wówczas odnośnej instytucji. W bezdokumentalnej i bezpasportowej Ameryce, gdzie każdy Smith, przejechawszy granicę swego stanu zjednoczonego, mógł swobodnie nazwać się Wessonem, albo inaczej: w tej oto Ameryce, przy dobroczynnościach, wylaniały się stosy nieprzewidzianych szkopułów legitymacyjnych. Kto? Skąd, jak, dlaczego, na jak długo i na jakiej zasadzie?... Oszkle pytajniki wyciągały na długiej szyjce ciekawe oczko, nic dobrego zresztą niewróżące. Niewprawna w angielszczyznę i formalistykę istota, potykała się o nie, jak o kolczaste druty, grodzące drogę do błogości.

Mała kancelistka „od loyera“ miała przytem wszelkie dane, aby raczej unikać zbyt ściśle zapowiętych dochodzeń. Przeniknęła do tej ziemi obiecanej i dolarami, jako miodem, cieknącej, w sposób conajwyżej na połowę legalny. Przyszła się do zlekka znajomej wycieczki nauczycielskiej, w której dało się uzyskać miejsce na pobyt czasowy, i pobyt ten własnowolnie, a lekkomyślnie, przedłużyła na bezterminowe wsiąknięcie w tłum.

O pierwszych dniach wołała nie myśleć. Jednakowoż, jak fabrykanci, dorabiający się w Łodzi, czy

Katowicach złota, muszą przejść przez strefę dymów i sadzy, zanim dotrą do wspaniałego salonu, czy księżeczki czekowej: tak i ona postanowiła zaciąć zęby — i przebrnąć strefę czarnej rozpacz i krwawego obrzydzenia. Tu człowiek tuczył się tylko krwią innego człowieka — a ona mu w tem dopomagała. Skape, ciężkie łzy wyzyskiwanych robociarzy, wyliczających przed nią swe krzywdy Nowo-świeckie, jako przed orędowniczką prawa, w owym sławnym „loyer-szopie“, wypalały w duszy ślady bóla, jak kwas siarczany. Zdawało się, że większej męki, czarniejszej pracy — znaleźćby nie sposób. A oto pokazało się, że dużo gorzej jeszcze było — wogóle zostać na bruku.

Z początku — próbowała nie dać się, postawić. Na miły Bóg! przecież istnieje jakaś przyzwoitość nawet u — złodziei! Tyle się czytało o dżentelmenerji nawet rozmaitych kawalerów księżycy! Poszła do gabinetu szefów, zdecydowana i zbuntowana: w trzy dni wyrzucić na bruk niewolno nikogo! Nawet służącej wymawia się na dwa tygodnie przedtem!

Kiedy jednak spotkały ją chłodne i, jak stal, tnące oczy głównego antreprenera wątpliwego „byznesu“ prawniczego, poczuła, iż wola jej się chwieje. Wieleż razy widziała podobne scysje przedtem! Wieleż razy próbowała interpelować w cudzej sprawie! Teraz szło jej o własną. Dlatego, zapewne, zaledwie umiała opanować głos o tyle, aby nie drżał łzami, jak u małej, skrzywdzonej i w krzywdzie swej zbuntowanej dziewczynki.

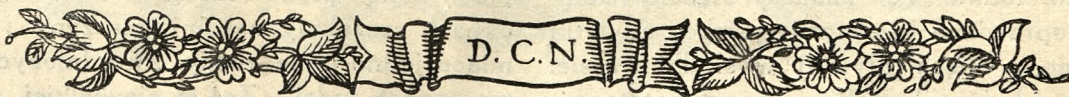
— Panowie angażowali mnie na rok, nie na miesiąc! Nie przyzwyczaiłam się do takiego traktowania, nie wyobrażam sobie...

Stalowe oczy patrzyły na nią nieruchomo, z rodzajem ironicznej kondolencji.

— Czy tak? Poproszę w takim razie o umowę.

— Nie miałam umowy piśmiennej, ale przecież pan mówił sam! Przecież z tym tylko warunkiem pracowałam za tak małą pensję. Przecież właśnie po miesiącu miała być o dwadzieścia dolarów podniesiona! Przecież...

— Nie miała pani umowy piśmiennej, a więc nie było żadnej umowy. Ustna umowa, proszę pani — przystojna, czelna twarz skrzywiła się pogardliwym uśmiechem — obowiązuje mnie wtedy, kiedy umawiam się z kobietą na — dancing. A w pracy jest tylko kontrakt pisemny i ostemplowany. O ile pani takiego nie posiada, została pani zaangażowana na warunkach zwykłych, czyli z trzydniowym wymówieniem każdej chwili. Panie buchalterze! czy pensja trzydniowa, należna z wymówienia, została tej panie — wskazał głową — wyliczona, jak innym pracownikom?



W. MIŁASZEWSKA

30

KACZĘTA

(powieść)

— I cóż? — pytam wreszcie, aby go oderwać od tego zamyślenia—może napisać list, ale trochę inaczej?

— Nie będzie ciocia pisać listu! — burknął.

— Wcale?

— Wcale.

— Ani w swoim imieniu ani w twojem?

— Ani w mojem.

— To cóż ona sobie pomyśli?

— Niechaj myśli, co chce... Że mnie niema... wyjechałem... że bujam gdzieś po świecie...

— Oj, Stasiu, Stasiu!..

Zachnął się znowu.

— Przecież stąd kiedyś wyjadę! Co się ciocia tak patrzy? Żal cioci, że ona tu z manatkami nie zjedzie, pielęgnować mię czule? Właśnie... Tegoby tylko brakowało! Nie, moja ciociu. To już, zresztą, skończone. A ona więcej nie napisze. Ja ją znam. I nawet lepiej. Raz się utnie, jak nożem, i...

Urwał. Wiem, o czym znowu pomyślał wtedy. Ale się już nie odzywał. Bo poco? Przyszło mi jeszcze na myśl, czyby do tej Jagienki nie napisać ukradkiem od siebie. Żeby ją tak niespodziewanie zobaczył...

Ale Staś chytry. List podarł na drobiutki kawałki, żebym adresu nie wyczytała, a portfel schował pod poduszkę. Już widać sobie postanowił, że tak ma być, i koniec.

A jak Staś raz się zdecyduje, to niema o czym mówić. Zrobi, jak powiedział. Taki był od najmłodszych lat...

26 maja.

Mniej mam teraz czasu na pisanie. Im Staś zdrowszy, tem dłużej gawędzimy ze sobą. I nie lubi, gdy go zostawiam samego.

— Znowu ciocia wychodzi? — krzywi się zawsze.

— Na chwilę tylko, Stasiu. Przyniosę ci owoców. Paskudne mają pomarańcze w tem Grodnie, a jakie drogie! Ale może dostanę truskawek.

— Posiedziałyby ciocia lepiej. O, nawet niebo się chmurzy. Napewno będzie deszcz.

Muszę mu obiecywać, że najdalej za pół godziny wrócę.

Wracam — i znowu idzie gawęda. Rozmawiamy całymi godzinami. Dawniej do Marka miałam więcej śmiałości, bo wiedziałam, że mię nigdy nie wydrwi, ani ze swym rozumem nie będzie się panoszył, jak naprzykład Adelka. A teraz i do Stasia mam śmiałość. Bardzo on teraz wyspokojniał, zlagodniał, nawet innym językiem mówi, niż dawniej. Taki czasem ci-

chy jest i rzewny, że mi naprawdę przypomina Marczyka...

Raz tylko, jeden raz, niedawno, bardzo brzydko wyraził się o Tomku. Ale to z mojej winy. Nie wytrzymałam — coś mię skorciło opowiedzieć Stasiowi o Janince. Z początku słuchał dość spokojnie i potakiwał: „Wiem, wiem“. Ale potem, kiedy doszło do Kazika i do tego, że Janinka się truła — i że ona go ciągle kocha, tego Tomka — odezwał się, machnąwszy ręką:

— Moja ciociu, ja oddawna wiedziałem, że w Tomku siedzi gruba świnia. Nie to on jeszcze potrafi, zobaczy ciocia.

Aż mi się przykro zrobiło i trochę pożałowałam własnych słów. Bo pewnie, Tomek źle postąpił, ale zawsze brata przed bratem oskarżać...

Jednak, widać, Stasiowi było nieswojo, bo dodał po jakimś czasie:

— Zresztą, każdy ma swoją etykę. Nie chcę go sądzić.

To już powiedział inny Staś, ten nowy.

Im bliższy czas wyjścia ze szpitala, mówimy coraz częściej o powrocie do domu. Staś przebąkuje, że będzie sobie zajęcia szukał.

— Zobaczyci ciocia, potrafię pożytecznie pracować i bez niczyjej łaski dam sobie radę.

— Co też ty pleciesz? Kto tu mówi o łasce. Głównym dała, że twój ojciec...

— Ojciec! — przerwał mi — ojcu się zawsze zdaowało, że jak pieniądze robi i dzieciom zapewnia dobrobyt, to już wszystko. A ja pieniędzy od ojca nie będę wiecznie brał. Mnie tych pieniędzy nie potrzeba. Niech sobie robią majątek razem z Tomkiem. Niech się Adelka cieszy, że będzie posażną jedynaczką... Mnie te ich pieniądze... Zresztą, co tu długo gadać! Są jeszcze inne rzeczy w Polsce, dla których warto popracować... Ojca to nie obchodzi, co mnie obchodzi... Wolałbym obie nogi stracić, wie ciocia? niż siedzieć w domu za piecem, jak Tomasz i... Et, że wjeżdżałem w pierwszych szeregach do Wilna, tego mi już nikt nie odbierze, chociażby całą fortunę zapłacić chciał!

Mówił niejasno, plątał się, przerywał; a ja wiem, czego on nie chciał wykrztusić: że mu Teofilowe pieniądze śmierdzą, bo to paskarskie pieniądze, na krzywdzie ludzkiej wyrosłe... Oj Stasiu, Stasiu! jak ja cię Kocham! z każdym dniem coraz bardziej!

1 września.

Więc tak. Jutro przychodzi do nas pan Kazimierz Witulski z córką. Już się teraz niewielu rze-

czom dziwię, ale jak mi Teofil uroczystym głosem nowinę oznajmił, przyznaję, że zdębiałam.

— Tylko bez żadnych ceregieli! — dodał Teofil — wiem, że tam kiedyś między wami coś... tego... ale co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. A po tylu latach boczyć się i miny jakies pokazywać, to — Justysia chyba rozumie — poprostu, śmieszne! I powinna Justysia pamiętać, że tu chodzi o Tomka przyszłość, a nie o stare sentymenty... Proszę więc nie wychodzić z domu od piątej i przyjąć gości jaknajuprzejmie!..

Taką mi wypalił naukę!

A ja wcale nie dlatego zdębiałam, że to pan Kazimierz, — on właśnie, — przychodzi do nas! Co mi tam! Od owych czasów tyle już wody upłynęło. I stara już jestem, włosy mam siwe... On także pewno nie odmłodził...

Ale zdębiałam, że się Tomek z tą panną ma żenić. Z córką pana Kazimierza! z Herminką! I jak mu pilno z temi zaręczynami! Roku nawet nie mógł doczekać... żeby chociaż załoba wyszła po Marku!

Adelka śmieje się ze mnie i powiada:

— Czy ciocia nie rozumie, że całe to małżeństwo, to dla Tomka doskonały interes! Robi świetną partję i koniec. A że mu pilno, to trudno się dziwić! Nużby tak kto inny uprzął panienkę z przed nosa, a razem z panienką dwie duże kamienice, willę pod miastem... no, i sporo gotóweczki w obcej walucie, która się Tomkowi najbardziej teraz uśmiecha.

— Gotówka? Waluta? i tu także waluta?

Adelka wzrusza ramionami:

— To nie małżeństwo, tylko by z n e s. Tłumaczę cioci przecież! Te nie ślub, tylko — traktat handlowy, o! zwlekać z tem nie bardzo bezpiecznie. Ale Tomek spryciarz: kuł żelazo, póki gorące. Podobno panna oczadziała z miłości, świata poza nim nie widzi!

Jezus, Marja! I ta!.. Co on takiego ma w sobie, że lgną do niego, jak muchy do miodu?

Trzy miesiące do tego dziennika nie zaglądałam. Po powrocie do domu zajęcia było dużo, potem ze Stasiem wyjechaliśmy do Kopytowa... Tak to wszystko było szast prast, że nawet ten zeszyt został w walizce, co ją brałam z sobą do Grodna. Przepakować go zapomniałam.

Wróciliśmy niespełna przed tygodniem i masz! — na samym wstępie taka nowina!

Tomka widziałam tylko raz, i to przez chwilę. Okropnie zajęty, bo zakłada jakieś biuro komisowo-handlowe, czy coś... Mieszkanie kupił sokie większe, meble staluje... Znowu mieszkanie, znowu meble! Czy oni poszaleli? Mało to gratów starych i nowych zawala u nas wszystkie kąty? A jeszcze na strychu nasz stary, czerwony garnitur mole jedzą!

Na obiady też do nas nie przychodzi — jada u narzeczonej albo na mieście. Już niechby lepiej u narzeczonej: pewnie zdrowsze, a w tych restauracjach żołądek mu gotowi popsuć.

Ale mniejsza o mieszkanie, o meble, — tylko to narzeczeństwo! Z córką pana Kazimierza!.. No, ma teraz ta Herminka pewnie ze siedemnaście lat. Dziecko prawie. Adelka, która ją gdzieś kilka razy widziała, powiada, że brzydka, jak siedem grzechów głównych. Ale bogata panna, bogata! Już się jej ojciec do sporej fortuny przyzenił, a później jakaś amerykańska scheda na nich spadła. Po stryju, czy wuju wędliniarki. Ale oni już tę wędliniarnię dawno sprzedali... To znaczy — on, bo żona się przeniosła w lepsze światy, zapisując połowę majątku dla niego, a połowę — dla jedynaczki.

Tak więc pan Tomasz Żebkowski będzie teraz pan całą gębą... Już sobie futro obstałował z kołnierzem lutrowym, chociaż do zimy dalekō. I zegarek ma złoty na rękę, w bransoletce. Na piątym palcu nosi teraz pierścionek z wielkim brylantem, zaręczynowy. Na czwarty mu się nie zmieścił, bo to panny Herminki pierścionek, a ona podobno i wąta, i mała, jak kurczę...

Adelka podkpiwa z Tomka, a w gruncie rzeczy — jak gdyby się cieszyła.

— Wie ciocia — powiada naprzykład — Tomasz napewno auto sobie sprawi. Ciekawam tylko, jakiej marki, bo jabym najbardziej wołała...

I wymienia nazwę, którą nawet spamiętać trudno, a cōż dopiero zapisać!

Dzisiaj zrana wzięłam Adelkę na spytki, żeby się cōś dowiedzieć, bo Adelka zawsze najlepiej o wszystkim jest powiadomiona.

— I powiedz mi... czy on ją chociaż kocha?

— Jaki „on“?

— No, przecie Tomek.

— Ach, Tomek! Kogo — narzeczoną?

— Bo przecież... jeśliby jej nie kochał, to...

Adelcia parsknęła śmiechem.

— Nie, ciocia jest cudowna! Kocha — nie kocha — zupełnie, jakby tutaj o to chodziło! Tomek się żeni dla pieniędzy, a do kochania jest przecież dosyć ładnych kobiet na świecie. Już niech się ciocia nie obawia... tych mu nie zbraknie!

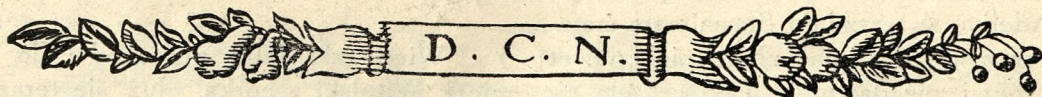
— Ale przecież ona...

— Kto „ona“?

— No, ta Herminka. Panna Witulska... Ona go przecież kocha?

— To co innego! Ma się rozumieć! ona za nim szaleje... Jeszczeby też! Taki przystojny chłopak!

— A mnie jej żal, — powiadam — bo jeśli Tomasz tylko dla pieniędzy się żeni... Jeżeli jej nie kocha...



PAULA LAMOWA

KOBIETA W EPOCE ODRODZENIA

Malarstwo włoskie pod wpływem urody kobiety i jej stroju

Niechęć duchowieństwa do odrodzenia kobiety dała swój wyraz przez rozporządzenie Soboru trydencckiego, który wydał przepisy ostrej klauzury dla wychowanki klasztoru i ograniczył program ich nauki. Św. Karol Boromeusz przestrzegał ogromnie przepisów tych w diecezji medjolańskiej, chcąc, w myśl św. Hieronima, zacieśnić horyzont zainteresowań kobiety. Wychowanki klasztoru mogły nosić strój tylko w jednym kolorze: czarnym, białym, lub szarym, zależnie od konwentu; mogły przebywać tam od 7-go do 25-go roku życia, poczem wolno im było opuścić klasztor, aby wstąpić w związki małżeńskie, albo też pozostać w zakonie do końca życia. O ile ostre rozporządzenia, dotyczące wychowania kobiet w klasztorze, stanowiły tamę w rozwoju jej umysłu, o tyle znajdowały one skądinąd uzasadnienie, na podstawie praw, które uzurpowała kobieta, nie zaniedbując ani jednej rzeczy, będącej przyczynkiem dla światowej sławy jej erudycji umysłowej, przepychu i modnego stroju. Kobieta, która już w początkach XIV w. prowadziła szkoły we Florencji, która w krótkim czasie swojej ewolucji umiała przeciwstawić mężczyźnie swoje niezaprzeczone i dorównujące mu wartości intelektualne — nie potrafiła i nie chciała wyrzec się kosztownych ram dla podniesienia swojej urody, które mężczyźni uważali zawsze za nieodłączną naturze kobiety chęć przypodobania się kochankowi, panu i władcy. Obok silnej ambicji ogarnięcia największej wiedzy, kieruje renesansową damą chęć jaśnienia zbytkiem, bogactwem i wytwornym smakiem, nie tylko wśród swoich, ale i zagranicą, wśród współczesnych i potomnych, zarówno u tych, którzy wielbili w niej umysł i wiedzę, jak u tych, którzy podziwiali urodę na tle dobranych barw.

Przez cały okres renesansu Italja króluje w malarstwie barwnością stroju kobiety i różnorodnością ujęcia jej kapryśnego stylu. Guirlandaio, ze szkoły florenckiej, u schyłku XV w., daje w „Urodzeniu św. Jana Chrzciciela“ obraz zbytku, który roztaczała wokół siebie położnica bogatego rodu. Komnata, w której matka z niemowlęciem na ręku przyjmowała odwiedziny krewnych i znajomych, zamieniana była na istną wystawę zbytku, która w Wenecji i Florencji była przepychem adamaszków, tkanych szczerem złotem, a w Genui i Turynie — lubowała się w przejrzystości najcieńszej koronki.

Przepych, otaczający kobietę w dniach jej słabości, przybrał takie rozmiary, że w Medjolanie wydano ostre zakazy pompacyjnego chrztu, a w We-

necji nałożono 30 dukatów grzywny za przekroczenie zakazu i ustanowiono urzędnika, który w sali położnicy przestrzegał wykonania przepisu, zgodnego z prawem. Mimo, iż sławny historyk Paolo Partenopeo ponuro przepowiadał, że przepych strojów kobiecych pociągnie za sobą upadek państwa — rozrzutność niewieścia, mająca jedynie na celu przygotowanie rajy dla mężczyzny i „gioie“ jego życia, stała się właściwą inspiracją renesansowego malarstwa.

Napróżno walczyło duchowieństwo wraz z rządem — ze zbytkiem, który wokół siebie roztaczała kobieta w epoce Odrodzenia. Skromne dziewice, wychowane wśród modłów, postów i zaparcia się wszel-



Isabella d'Este Tycjana

kiego zbytku—opuszczywszy klasztorne wirydarze, stały się w małżeństwie nadrobić uciechę życia i jego olśniewające dary, których poskapiły im w młodości surowe zakazy duchownej władzy. Niezależnie od urody, majątku, stanu i wiedzy, kobieta renesansowa hołdowała modzie i dała możność do rozwoju malarstwa niewieściego stroju, który stał się największym dorobkiem Vicella i Pisanella. Uroda jej rzucała urok na sztukę i znajdowała szeroki oddźwięk w malarstwie i poezji; ale, gdy plastycy nadawali jej obfite, pełne kształty, które upodobał sobie szczególnie Boticelli w „Urodzeniu Venus”—poezja dała raczej mgliste, nieskreślone pojęcie o urodzie Laury i Beatrice. Petrarka i Dante stroili uwielbiane kobiety w jasne warkocze i subtelną owal twarzy, w nieskazitelną białą karnację i serafickie uśmiechy drobnych usteczek; w kształty wysmukłe, nie wzbudzające cienia pożądliwości, i chód tak powiewny, że stopy zdawały się nie dotykać ziemi.

Tymczasem Bocaccio w urodziwej kobiecie renesansu chce podziwiać jędrne piersi, podobne do spłaszczonych dojrzałych gruszek, szerokie barki i obfite biodra, wąskość talji i kształtność kończyn, wskazujących znakomitość rodu. W istocie, kobiety z obrazów Tycjana i Paola Veronese, który swoją złotowłosą żonę obrał za model do „Porwania Europy”, zgadzają się z opisem Colonna, Ariosta i Tassa, a ponieważ zarówno plastyka, jak i literatura, przyznały pierwszeństwo jasnym włosom i świeżości barw—próżność kobiety podąża szybko śladem opiewanego ideału. Niewiele było złotowłosych wśród niewiast gorącego południa, trzeba było tedy poszukać kunsztu, który dawał uwielbianą barwę, niezależnie od skąpej natury, szczodrej dla kobiety Italii w niepożądany i niemodny kolor kruczonych splotów. Wenecjanki nie wahały się włosów swoich wystawiać przez dnie całe na działanie promieni słonecznych, nie zważając na żar upalnych dni letnich, jako że słońce miało siłę wyciągania silnego barwiku z odpowiednio napojonych włosów renesansowej damy. Malowanie twarzy, modne zawsze na wschodzie, stało się nieodłącznym dopełnieniem stroju eleganckiej kobiety. Potem dopiero następował dobór barw, materiału i kosztowności, który razem składał się na indywidualność stroju światowej niewiasty.

Wzorem mody była malowana przez Tycjana w pierwszej połowie XVI w. Izabella d'Este, która także na obrazach Lorenza Costy nosi sławne czerwone płaszcze aksamitne, podszyte aksamitem innego koloru, olbrzymie rękawy, stanowiące największą ozdobę renesansowej sukni, o kwadratowym wycięciu, strojnem w pasmanterję i kosztowne galony. Z Sycylii przychodzi upodobanie do ciężkich materiałów, aksamitów, brokatów, adamaszków, w rodzaju tych, w których na obrazie Rafaela w Luwrze uwieczniona jest czerwona suknia smukłej i drobnej Joanny aragońskiej, której postać niknie prawie w fałdach olbrzymiego stroju.

Magdalena Strozzi Rafaela nosi także ciężką suknię purpurową z niebieskimi rękawami, zdobną w cenne kamienie. Leonardo da Vinci, Rafael i Borgagone uwiecznili na obrazach swoich szczerozłote frendzle, zdobiące narzutki bogatej damy. Lukrecja Borgja nosiła płaszcze czarne aksamitne, zdobne w złote galony, o rękawach czarnych, szerokich, które pokrywały drugą parę, wąskich; pierś osłaniała aż po szyję gaza, przetykana złotem, szyję stroiła kolja pereł, a głowę—zielona siatka, przetykana rubinami. Rękawy jej sukni były zawsze z białego brokatu, wąskie i marszczone, albo szerokie i spadające do ziemi — na głowie nosiła zielony beret z perłami. Ulubionym jej strojem, była „sbernia”, narzutka hiszpańska w jaskrawym kolorze, którą wprowadziła w modę w Rzymie. Aleksandra Benucci, sławna z urody żona Tytusa Strozzi, później Ariosta, nosiła koronę z jasnych warkoczy, przeplatanych wawrzynem, i czarną suknię jedwabną, haftowaną w winne grona.

KRONIKA PLASTYCZNA

Symbolem obecnej wystawy w „Zachęcie” mógłby być obraz p. Pii Górskiej, p. t.: „Bańki z mydła.” Niestety, mógłby być tylko. Pisząca te słowa czułaby się szczęśliwą, gdyby nareszcie doszło do tego, ażeby obrazy, wystawiane w „Zachęcie,” były tak puste i beztreściwe, jak bańki mydlane, a natomiast—podobnie, jak także bańki—olśniewające „powłoką” zewnętrzną, czarujące subtelnością koloru. Być może, że brzmi to, jak bluźnierstwo:—jako? ponizanie treści? podnoszenie wiotkiej i kruchej formy kosztem tego, co powinno przecież być rzeczą najważniejszą: duszy?!

To prawda. Ale, zaiste, tak wiele nam dają tej „duszy,” a tak mało akcesorjów, w których się ona zwykła ucieleśniać, tak mało tego wszystkiego, co bez pretensji do wzlotów mistycznych raduje poprostu oczy, cieszy bezpośrednio zmysły,—że człowiek czuje skłonność do bluźnierstw, krótko mówiąc—do grzechu! Niechże to będą bańki mydlane, byleby były bajecznie kolorowe i lśniące wszystkimi barwami tęczy. A co po tej całej duszy, kiedy jest taka szara i ponura?...

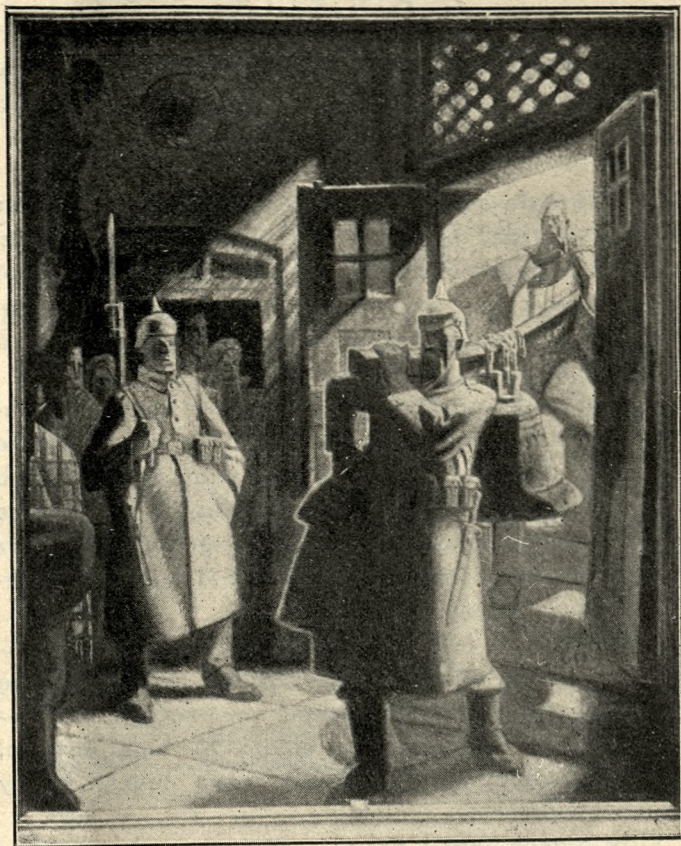
Obraz p. Górskiej, który niewinnie posłużył, jako punkt wyjścia dla tych pobożnych, czy też może bezbożnych—życzeń, nie należy do najlepszych dzieł tej artystki, wystawionych obecnie. Tytuł: „Bańki z mydła” znajduje swe uzasadnienie tylko poprostu w fabule, w tem, że dwie niewiasty zabawiają się puszczaniem baniek przez słomki, i widzimy tych kilka ślicznych baniek, kręcących się samotnie w powietrzu. Ale szkoda, że cała lekkość i migotliwość nie została uzewnętrzniiona i w innych partjach obrazu, który jest raczej ciężki w zestawieniach barwnych. Pani Pia Górską idzie wogóle raczej w kierunku wydobywania wartości formalnych, nie kolorystycznych, jak

na to wskazują powiększej części jej portrety. Znać na nich pewne wpływy Quattrocenta, także jeśli chodzi o stosunek do tła. (Np. pani z kwiatami w niebieskiej tiurniurze, na tle architektury.) Tendencje paseistyczne artystki znajdują swój wyraz także w często stosowanem malowaniu na złotem tle.

Ładnie jest skomponowany pejzaż z domami — motyw z Kazimierza nad Wisłą.

Inne momenty wystawy są mniej interesujące. Pejzaże p. Biskego, sceny batalistyczne Rosena — nie wnoszą nic nowego. Z przyjemnością patrzy się na pejzaże p. Trzebińskiego, o bardzo subtelnym i czystym rysunku. Należy jeszcze wspomnieć grafikę p. Osseckiego, oraz z wystawy ogólnej, stojące nieco powyżej ogólnego, bardzo niskiego poziomu — prace p. Dybowskiego. Natomiast z przykrością tylko można zanotować absolutny brak prymitywnego poczucia barwy p. Żukowskiej oraz p. Świerczyńskiego, — u tego ostatniego jest to tem smutniejsze i bardziej niezrozumiałe, że łączy się z bardzo skądinąd chwalebniemi tendencjami dekoracyjnymi.

Na dole jaśniejszy nieco punkt wystawy tworzą projekty plakatów na ogólnokrajową wystawę w Poznaniu. Projekt p. Jastrzębowski, który otrzymał pierwszą nagrodę, zasługuje na nią istotnie ze wszech miar, dzięki niezwykle harmonijnej i dyskretnej, zdaleka już zwracającej uwagę widza, kompozycji. Zśród niewyróżnionych, zasługują na uwagę projekty, podpisane godłem „Boley“, oraz „Dziesięć.“ Ten ostatni, oryginalny w zestawieniach, jest może nieco za bstrakcyjny — jak na afisz, bądź co bądź, reklamowy.



Jan Świerczyński: „Rekwizycja dzwonów“

* * *

Wystawa reprezentacyjna Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków (Nowy-Świat 19) zawiadła potrosze oczekiwania. Być może, że szło się na nią ze zbyt wysokimi wymaganiami, a wystarczyłoby, poprostu, zadowolnić się tem, że prace, tu wystawione, stały na poziomie o wiele wyższym, niż prace „zachętowe“ Nie wiem, czy panom ze Związku wystarczy tylko tego rodzaju miara. Jednak trzeba koniecznie stwierdzić, że przeważna część obrazów nie reprezentowała ich autorów dostatecznie. W każdym razie był to może artystyczny, niemniej jednak bardzo „na ola Boga!“ bric-a-brac. Nie pisząc dokładnie o wystawie, ponieważ jest już zamknięta, wspomina my tylko bardzo ciekawą kompozycję p. Piotrowskiego — „Łobuzy“, ładnie zróżnicowaną kolorystycznie „Donnę z Madonną“ Pruszkowskiego (węgiel podkolorowany), dwa obrazki Wąsowicza Waclawa (zwłaszcza bardzo subtelna „Plaża“), pejzaż Skoczylasa i Winklera. Również prace pp. Łuczyńskiej-Szymanowskiej (a specjalnie — akt kobiecy), Bobińskiej-Paszkowskiej, Węgierkowej oraz Wysockiej, której „Bukiet“ ma bardzo ładne, głębokie tony w tle.

Czekamy z niecierpliwością dalszych wystaw Związku, który zdaje się rozporządzać tak wielu wartościami — być może, istniejącymi narazie jeszcze w stanie potencjalnym.

l. j.



Z wystawy w Zachęcie. Pia Górską: „Bańki mydlane“

Z KSIĄŻEK

Leonardo da Vinci. — Bajki. Favole, — zebrał i przełożył Leopold Staff. Warszawa 1928. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

„Nie cofa się, kto związał się z gwiazdą“, — te słowa Leonarda, przytoczone w przedmowie do przekładu jego bajek, możnaby uważać za genialny skrót jego niezwykłego żywota, wypełnionego po brzegi żarliwym poszukiwaniem prawdy we wszystkich objawach życia, sztuki i wiedzy.

Jego „Favole“, przyswojone obecnie literaturze naszej przez pióro Leopolda Staffa, to paraboliczne uśmiechy mędrca, notowane na marginesie długich godzin kontemplacji świata zewnętrznego z równie niezamąconym spokojem, z jakim genialny malarz chwycił na gorącym uczynku ruchy i kształty zwierząt, roślin i rzeczy.

Dalekim tu jest Leonardo od zakusów moralizowania w guście legendarnego Ezopa; nie ubiega się o dosadną charakterystykę typu zwierzęcego, jak Lafontaine; ale z upodobaniem śledzi za linią odwetu, którą sam sobie wykreśla każdy czyn ludzki, każdy odruch zwierzęcy.

„Gdy orzech ponad drogą owoców swych mienie
Odkrył przechodniom, każdy nań ciskał kamienie“

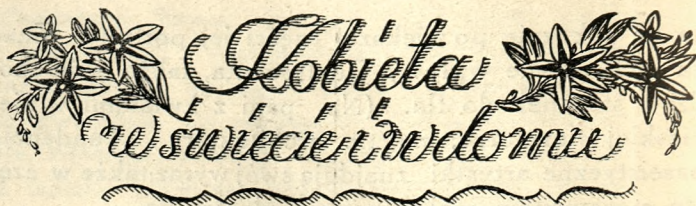
Kłątwa bogactwa duchowego, którą jednostka udarowana nosi w sobie, ujęta tu jest w związką przenośnię, nie wymagającą komentarzy.

Z pietyzmem wydana książeczka, ozdobiona jest przesłicznymi rysunkami Leonarda i może być miłym towarzyszem szarych godzin życia. S. P. O.

Juljusz Kaden. Bandrowski — „Nad brzegiem wielkiej rzeki“. Nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Jeszcze jedna książka z cyklu „Miasto mojej matki“. Ten sam sposób podejścia do tematu, to samo rzewne, skupione na „kraj lat dziecinnych“ spojrzenie. Każdy, najdrobniejszy nawet, fakt ulega podwójnemu załamaniu; odbity w lusterku dziecinnej wyobraźni, filtruje się przez pryzmat dojrzałej mądrości, aby słonecznym uśmiechem przyłgnać do warg spieczonych, albo łąz niespodzianą zawisnąć u rzęsy.

Tajemnicę tego uśmiechu i tej łązy posiadł autor w zupełności. Jemu tylko wiadomymi drogami dochodzi do źródeł wzruszenia etycznego, budząc w swoich małych bohaterach świadomość dobra i zła, w czytelnikach — tę rozkosz estetyczną i entuzjizm, jaki rodzi się podświadomie wobec skończonego dzieła sztuki. „Tak właśnie bywa w życiu... Trzeba cały świat oblecieć, by pojąć, że najwięcej światła jest najbliżej!... W tej fastrydze cieniutkiej, którą ktoś ukochany wszywał w naszą odzież swą miłość“. S. P. O.



JESZCZE JEDNA ANGIELKA PRZECHODZI DO IZBY GMIN

Wybory do parlamentu, a szczególnie do Izby Gmin, w państwie brytyjskiem poruszają zazwyczaj do głębi wszystkie warstwy społeczne. Wszystkie środki agitacyjne przedwyborcze zostają puszczane w ruch; stronnictwa nie zaniedbują najmniejszych sposobów; na ulicach miast wre kampanja jednych przeciwko drugim; udział kobiet ze wszystkich sfer zaznacza się w agitacji politycznej coraz wyraźniej.

I oto znowu jeszcze jedna kobieta przechodzi do parlamentu, do Izby Gmin: jest nią lady Ireagh, żona posła do Izby Lordów.

Lady Ireagh — ze stronnictwa konserwatywnego w Anglii — jest siódmą zrędu kobietą, która wchodzi do parlamentu. Trzy jej koleżanki należą również do stronnictwa konserwatywnego, zaś drugie trzy — do partji Labour (Laburzystów).

Liczba głosów, które padły na nią z okręgu wyborczego Southend, mówi sama za siebie, równa się bowiem 22.221, — wówczas, gdy kandydat liberałów uzyskał 11.912 głosów, a kandydat bezpartyjny — tylko 917...

Walka przedwyborcza była tym razem wyjątkowo zacięta... przed urnami odbywały się istne batalje. Jedną z głównych przyczyn, jaką wysuwano przeciwko lady Ireagh, była, oczywiście, jej płeć... Przeciwnicy równouprawnienia kobiet na wyspie trzeźwego Albionu nie doczekali się jednak chwil pełnych triumfu, i tym razem kobieta zwyciężyła. H. S.

ZWYCZAJ Z PRZED PIĘCIUSET LAT

Chyba w żadnym kraju europejskim starodawne zwyczaje nie są zakonserwowane tak wiernie, jak w Anglii! Dotychczas, np., na jednej z północnych wysep państwa brytyjskiego, zwanej „The holy Island“, czyli „Świątą wyspą“, istnieje zwyczaj, przestrzegany niezwykle ściśle podczas ceremonji zaślubin młodej pary

Oto na środku miasteczka, zazwyczaj na rynku, ustawia się wielki kamień. W dniu ślubu orszak weselny, przed udaniem się do kościoła, staje na tym placu; drużki przyprowadzają pannę młodą do kamienia, dwóch starych „wilków morskich“, wybranych poprzedniego dnia, ujmuje za ręce oblubienicę, ubraną już w ślubne szaty, i zmusza ją do przeskokowania wysokiego kamienia. Skok ten staje się symbolicznem pokonaniem wszystkich trudności, jakie mogą powstać dla młodej kobiety w małżeństwie. H. S.

INWALIDZI WOJENNI KANDYDATAMI NA MEŻÓW W AMERYCE

Niezwykle popularna działaczka społeczna i filantropka amerykańska, pani Ruth Stift, rozpoczęła swego czasu, zaraz po wojnie, gorączkową propagandę wśród amerykańek, aby wychodziły zamąż za inwalidów wojennych, którzy utracili na wojnie wzrok.

Według zdania p. Stift, takie małżeństwo ze ślepyim miało by dwie dobre strony: zmniejszyłoby liczny odsetek kobiet niezamężnych w Stanach Zjednoczonych, a powtóre byłoby swego rodzaju aktem wdzięczności dla nieszczęśliwych bohaterów.

Akcja filantropki uwieńczona została niespodziewanym skutkiem: oto za jej sprawą skojarzyło się w roku 1927 przeszło półtora tysiąca małżeństw tego rodzaju. H. S.

TRZYNASTOLETNIĄ REKORDZISTKĄ



Panna Kitty Mac Hole, trzynastoletnia córeczka dr. Peter Mac Hole'a, z Jorkshire, zdobyła się na niezwykle czyn zręczności i wytrwałości, dokonawszy 3.028 skoków na skakance.

„Turniej” odbył się wobec licznie zgromadzonej publiczności, na skutek „wyzwania” panny Kitty Mac Hole przez drugą championkę tego „dziewczego sportu”, która zdołała wykonać tylko 1.722 skoków na godzinę

Kitty zdobyła więc rekord i wszechświatową sławę niezwykłej.

KOBIETY NIEMIECKIE KRYTYKUJĄ „MĘSKIE RZĄDY”

Była posłanka do parlamentu niemieckiego, p. von Kardorff, wygłosiła niedawno w Berlinie odczyt o konfliktach w życiu kobiety współczesnej. Odczyt ten był bardzo charakterystycznym odbiciem nastrojów, panujących wśród dużej części kobiet niemieckich — zdecydowanie krytycznego, chwilami wprost wrogiego stanowiska w stosunku do polityki, uprawianej przez mężczyzn. Na zakończenie, prelegentka oznajmiła, że gdyby kobiety, te ciche, potulne, niby nieinteligentne „kwoki domowe”, te zahukane „Hausfrau” tak źle rządziły domem i finansami swego gospodarstwa, jak mężczyźni rządzą państwem, — nie utrzymałby się ani jeden dom!

N. J.

OGRANICZENIE STUDJÓW KOBIECYCH W OXFORDZIE

Senat najstarszego uniwersytetu angielskiego w Oxfordzie ograniczył liczbę studujących kobiet, wyznaczając im w tym roku 850 miejsc w salach wykładowych.

Najwyższe władze uniwersyteckie określiły stosunek liczebny studentek do studentów na 1:4.

Na pięć miejsc — cztery rezerwowane są dla mężczyzn, jedno — dla kobiet.

Profesorowie angielscy usprawiedliwili swe stanowisko w sprawie studjów kobiecych. Według ich zdania, zbyt wiele kobiet rozpoczyna studia uniwersyteckie, kończy zaś nieproporcjonalnie małą liczbą. Ogromne przeładowanie sal wykładowych i laboratoriów utrudnia naukę mężczyznom, którzy kierują się wrodzoną kurtuzją i ustępują kobietom pierwszeństwa w korzystaniu ze środków naukowych, miejsc w salach wykładowych i bibliotekach.

Jeśli się zważy, że zaledwie 2 — 3 procent kobiet, wstępujących do uniwersytetu, zyskuje patenty naukowe, — przyznanie im 25 procent wolnych miejsc w uniwersytecie należy określić, jako najdalej idącą ustępliwość.

Takie stanowisko senatu oxfordzkiego wywołało szereg protestów, a nawet demonstracyj studentek, na których czele stanęła dyrektorka Sommerville College w Oxfordzie, pani Margery Frey. Studentki stoją na tem stanowisku, iż uniwersytet jest świątynią nauki, do której powinni mieć dostęp wszyscy, żądni wiedzy, bez względu na to, czy zdobywają ją dla uzyskania patentów, czy też bez chęci praktycznego wykorzystania studjów. Znikomy procent kobiet, zdobywających patenta, jest dowodem ich bezinteresowności wobec nauki i świadczy o tem, iż większość studentek nie ma zamiaru zabierać mężczyznom ich stanowisk, lecz uczy się dla samej nauki.

W. B.

JESZCZE JEDNA PRÓBA

Orgja rozwodów szaleje i nadal w Stanach Zjednoczonych. Społeczeństwo amerykańskie coraz bardziej potępia współczesną manję rozstawania się młodych małżonków z byle jakiego powodu i wpada na coraz to inne „niezawodzące” środki utrzymania równowagi w tej dziedzinie życia.

Ostatnio, prezydent senatu w Los-Angeles, sędzia Burnell, wniósł projekt nowego prawa, które ma, pono, najskuteczniej zapobiec rozwodom.

Według nowego prawa wszystkie małżeństwa w Stanach Zjednoczonych zawierane być mają tylko na lat pięć...

Po upływie tego przepisowego terminu małżonkowie mogą się rozejść, zupełnie prawnie, według kontraktu, lub mogą spisać nową umowę — czyli powtórnie wziąć ślub, ale znowu tylko na lat 5...

Procedurę tę można powtarzać do trzech razy... następnie klamka zapada, czyli po upływie piętnastu lat małżeństwa takie są uważane za nierozzerwalne, aż do śmierci!

Wszystkie kwestje, dotyczące wychowania dzieci, wszystkie sprawy majątkowe — muszą być przewidziane zawczasu i spisane w rejentalnej umowie po ślubie.

Pary, które już po roku małżeńskich rozkoszy przychodzą do przekonania, że są niedobrane, zmuszone będą cierpliwie czekać do terminu, w którym kończą się ich umowy ślubne, i pod żadnym pozorem nie mają prawa zawierania nowych związków.

Ciekawe... czy to co pomoże?

H. S.

ŚMIERTELNOŚĆ NIEMOWLĄT W BOLSZEWJI

Bolszewickie pismo „Sierp”, wychodzące w Kijowie, zamieszcza głos lekarki Radziejowskiej o śmiertelności niemowląt i matek:

„Statystyka wykazuje, że 50.000 kobiet co roku umiera w Z. S. S. R. z gorączki połogowej. Dzieci umiera więcej, niż w innych krajach: w Norwegji niemowląt do 1 roku życia, na każdy 1000 noworodków, umarło w r. 1923 — 63, w Anglii — 80, w Rosji Sowieckiej — 260. Wszystkiego umiera w Rosji sowieckiej, nie dożywszy roku, blisko 1.500.000 dzieci...” „Główna przyczyna leży w tem, że kobiety odbywają połóg w warunkach, w których i dzieciom, i im grozi śmierć, lub kalectwo”. „Ślepych w Z. S. S. R. jest 500.000, w tem 50 proc. wskutek tego, że położniami są nieumiejętne „babki”.

PRZEŻYTKI I MELODJE PRZYSZŁOŚCI W ZAWODACH
KOBIECYCH

W okresie ostatniego 25-ciolecia, a szczególnie po wojnie, daje się zauważyć usuwanie się kobiet od pewnego typu zajęć ostatnich, które dotychczas odpowiadały im najzupełniej.

Do zajęć tego rodzaju należą: służba domowa, praczki, prasowaczki, dziewczęta do posług it.d.

Najostrzejszy kryzys wybuchł w Anglii. Dziewczęta i młode kobiety, zmuszone podczas lat wojny pracować jako szoferki, konduktorki, policjantki—nie chcą powracać do mniej odpowiedzialnej pracy służby domowej.

W Ameryce tak samo już niema właściwie dziewcząt-służących. Role te oddawna spełniają murzynki, albo cudzoziemki, szukające kawałka chleba.

W Australji zaś ta kategoria istot oddawna, że tak powiem, znikła z powierzchni ziemi. Ponieważ w kraju tym każdy musi obsłużyć samego siebie, uproszczono więc, co się tylko dało, w mechanizmie gospodarstwa domowego. Miejsce rąk ludzkich—zajęła elektryczność, automat. W kraju, skąd eksportuje się świeże mięso dla całego świata, nie jada się prawie nigdy mięsa innego, jak w konserwach, a to z powodu braku służby domowej i niejadania obiadów w domu.

We Włoszech, szczególnie w Rzymie, ze świecą dziś można szukać prasowaczki. Ręce kobiece zostały zastąpione maszynami elektrycznymi, przy których stanął mężczyzna, jako mechanik, mogący zaradzić każdej biedzie, która się nadarzy w cielsku maszyny.

W Medjolanie napróżno szukalibyśmy praczek: dziewczęta i młode kobiety garną się do fabryk i wielkich magazynów,

W Paryżu nie spotkamy już prawie nigdzie młodziutkich dziewczątek, które z dużymi tekturowymi pudłami od modystek fruwały ongiś po ulicach nadsekwańskiej stolicy, niby roje motylków, ożywiając każdy zakątek miasta. Miejsce ich w magazynach oddawna zajęli już chłopcy do posług, uwijający się na rowerach, lub auta ciężarowe.

Cóż więc, właściwie, dzieje się z armją młodych i zwinnych dziewcząt na szerokim świecie?

Zrobiono niedawno wywiad z tysiącem dziewcząt, pracujących na swe utrzymanie, aby dowiedzieć się, jaki zawód odpowiadałby im najlepiej.

Otóż z tysiąca dziewcząt—250 chciałoby prowadzić auta, 150—pragnęło pozostać żywymi manekinami w wielkich magazynach konfekcji, a 495 oświadczyło, że chciałoby zostać aktorkami filmowymi...

Podobno w Hollywood odbywają się dramatyczne sceny. Obliczono, że przebywa tam obecnie mniej więcej 40.000 kobiet od 15—30 r. życia, które ścigały z całego świata, umierają z głodu, nie mogą znaleźć żadnego zajęcia i marzą, marzą aby przyjęto je do jakiegokolwiek bądź filmu!

Statystyka stwierdza, że co trzy dni kończy tam jakaś „nie-doszła diva”—śmiercią samobójczą.

H. S.

ZA 13 LAT W WIEDNIU NIE BĘDZIE MAŁŻEŃSTW

Statystyka zawieranych małżeństw, przeprowadzana rok-rocznie w Wiedniu, wykazuje niezbitcie fakt zmniejszania się liczby ślubów w Austrii.

N.p. w roku 1920 zawarto 30,136 małżeństw, następnie z roku na rok coraz mniej, aż wreszcie w 1926 tylko 15,285. Ponieważ spadek małżeństw jest systematyczny, wynosząc co roku mniej-więcej tę samą ilość—statystycy austriaccy mniemają, że i w roku 1927 zawarto znowu o 1.200 małżeństw mniej, niż roku poprzedniego; a o ile sytuacja w tej dziedzinie nie ulegnie zmianie, to za 13 lat statystyka wiedeńska nie będzie mogła wykazać ani jednego małżeństwa!

ZADANIA KOBIEĆ W ARCHITEKTURZE

Czytamy w „Kurjerze Warszawskim“:

„Powstały w Warszawie żeńskie kursa architektoniczne, koncesjonowane przez ministerjum W. R. i O. P.—o programie dwuletnim. Stowarzyszenie architektów polskich wydało opinię przychylną o celowości takich kursów, motywując ją następująco: „Istnieje potrzeba stałych pracowników w biurach architektonicznych, którzy—posiadając odpowiednie wykształcenie fachowe—byliby w stanie, pod kierunkiem architekta i w myśl jego wskazówek, spełniać wszelkie prace techniczne, wchodzące w zakres biura architektonicznego. Kobiety, będące zazwyczaj bardzo sumiennymi i skrupulatnymi pracowniczkami, nadają się na stałe iły pomocnicze wspomnianego typu w biurach architektonicznych“.

Z chwilą napływu sił kobiecych do biur architektonicznych, winno przedewszystkiem ustąpić karygodne niedbalstwo, z jakim traktowano dotychczas sprawę praktyczności rozplanowania mieszkań i instalacji różnych urządzeń wewnętrznych. Polskie architektki mają obowiązek zapoznania się z zasadami naukowej organizacji pracy w gospodarstwie domowym, aby móc wprowadzić te niezbędne innowacje, jakie „deptak domowy“ zmieniają na nowoczesnie urządzone, wygodny i miły warsztat pracy. Wzorów nie brak: Stany Zjednoczone i Francja dochodzą już do maestrii w tej dziedzinie. Z tego punktu widzenia należy traktować zadania specjalnie żeńskich kursów architektonicznych. Zasadniczo, bowiem, niema racji dzielenia uczelni wyższych na męskie i żeńskie.



Miss Francis Grayson, śmiała lotniczka, która daremnie kusiła się o dokonywanie przelotu z Ameryki do Europy, wysiada z kabiny w towarzystwie najstarszego lotnika niemieckiego.

MŁODZIEŻ W ŚWIETLE BADAŃ PSYCHOTECHNICZNYCH

W roku ubiegłym Pracownia Psychotechniczna Patronatu nad Polską Młodzieżą Rzemieślniczą i Przemysłową poddała badaniom pod względem uzdolnień do pracy ręcznej przeszło 1000 chłopców w wieku od lat 14 do 20, jak również około 300 pańienek w tymże samym wieku.

Jakkolwiek ta ilość młodzieży wydaje się zbyt małą, ażeby już móc wyciągnąć wnioski, niemniej jednakże rezultaty tych badań nasuwają pewne refleksje i spostrzeżenia, któremi chciałbym się podzielić w niniejszym artykule.

Młodzież, poddana badaniu—zarówno męska jak i żeńska—pochodziła z najrozmaitszych warstw społecznych, z przewagą jednakże warstwy drobnomieszczańskiej. Pod względem wykształcenia, młodzież owa miała przeważnie ukończoną szkołę powszechną, niekiedy parę niższych klas szkoły średniej. O ile, jednakże, wszystkie pańienki miały conajmniej ukończoną szkołę powszechną, a wiele z nich ukończyło kilka klas szkoły średniej—to duża część chłopców nie miała nawet ukończonej szkoły powszechnej.

Właściwe badania psychotechniczne poprzedzone są przez badania antropometryczne i lekarskie. Otóż pierwsze wykazują poprawę stanu fizycznego, lecz dotyczy to tylko młodzieży żeńskiej. Nie analizując przyczyn tego stanu rzeczy, wskażę tylko na główne, mojem zdaniem—ćwiczenia gimnastyczne. Badania lekarskie wykazały około 10% chorych, lub skłonnych do gruźlicy, około 17% z wadami wzroku (przeważnie krótkowzroczność).

Nie przytaczam liczb szczegółowych, które zainteresowani mogą znaleźć w sprawozdaniu Patronatu, zwracam tylko uwagę na dwie liczby najważniejsze, a to w celu przypomnienia o konieczności higieny, oraz zakazie czytania książek przy niedostatecznym oświetleniu, co przeważnie spowodza krótkowzroczność.

Najbardziej uderzające są rezultaty badań psychotechnicznych, i to zarówno dotyczących sprawności intelektualnej, jak i uzdolnień do pracy ręcznej. W celu lepszego oświetlenia tych rezultatów badań, muszę przytoczyć krótkie wyjaśnienie, co do sposobu samej oceny zadań, wykonywanych przez młodzież. W ocenie brane są oczywiście, pod uwagę: wiek życia, wykształcenie i warstwa społeczna, z której badany pochodzi. Badanie sprawności intelektualnej składa się z badania pamięci, uwagi, inteligencji i t. d. Wszyscy badani otrzymują identyczne zadania w określonej ilości. Po zbadaniu kilkuset osób, następuje opracowanie odpowiedzi i ich klasyfikacja. Niema, oczywiście, założenia apriorycznego, że badany musi odpowiedzieć na daną mu ilość pytań, tylko późniejsze obliczenia pozwalają uszerego-

wać badanych pod względem ilości danych odpowiedzi. Za najlepszych będą uważani ci, którzy dadzą największą ilość trafnych odpowiedzi, inni—za średnich, pozostali—za słabych. Metody statystyczne pozwalają w ten sposób na dokładne rozsegregowanie materiału ludzkiego na dobrych, średnich i słabych. Tak otrzymane stopnie służą do oceny następnych osób, poddanych identycznemu badaniu. Też same metody otrzymywania stopni oceny służą i przy określaniu uzdolnień do pracy ręcznej. Oceny te, opracowane na tym całym materiale 1.300 osób, z natury rzeczy muszą być dwojakie: dla młodzieży męskiej i żeńskiej, i o ile porównamy ze sobą te dwa rodzaje ocen, to okaże się rzecz arcyciekawa, a mianowicie: o ile byśmy, po zbadaniu chłopca, zechcieli go ocenić stopniami, opracowanymi dla pańienek, to prawie każdy okazałby się słabym, lub, co najwyżej—średnim, i odwrotnie: ani jedna pańienka, oceniana stopniami dla chłopców, nie byłaby słabą. I to zarówno w ocenie sprawności intelektualnej, jak i w uzdolnieniach do pracy ręcznej. Dla informacji dodam, że wszyscy otrzymują identyczne zadania. W tem miejscu pozwolę sobie na przytoczenie paru liczb.

INTELIGENCJA:

ocena	chłopcy	pańienki
b. dobre	91—97%	96—100%
dobre	71—90%	93—95%
średnie	46—70%	69—92%
słabe	22—45%	56—68%
b. słabe	11—21%	48—55%

Tablicę niniejszą należy rozumieć w ten sposób, że na ogólną ilość pytań badani dają różną ilość odpowiedzi i np., o ile chłopiec dał 46% trafnych odpowiedzi, to może być uważany za średniego, a pańienka musiałaby dla tejże kwalifikacji dać aż 69% i t. d. Dowodziłoby to, że ogólna masa młodzieży żeńskiej okazała się bardziej inteligentną, a więc jest ocenianą surowiej.

Liczy powyższe dotyczą jednego wieku dla pańienek i chłopców i niewielkiej różnicy wykształcenia ze szkół zawodowych.

Stopnie, dotyczące pamięci i uwagi, są w podobnej proporcji. Co do uzdolnień do pracy ręcznej, to sprawa przedstawia się nie inaczej. Ślepoty na barwy u pańienek całkiem nie zaobserwowano; miarę wzrokową pańienki mają lepszą, w rozróżnianiu gładkości powierzchni prawie się nie mylą; w ruchach są szybsze i zręczniejsze; pod względem dokładności i cierpliwości stanowczo górują nad chłopcami. Na jedynym polu górują chłopcy: siłą mięśni i wytrzymałością w pracy fizycznej.

* * *

Nie podaję tutaj całkowitej statystyki, sądząc, że po zbadaniu większej ilości młodzieży, da się

z możliwą dokładnością podać wyniki cyfrowe i wyciągnąć wnioski; niemniej i dotychczasowe rezultaty nasuwają szereg refleksyj, a to zarówno, co do stanu uzdolnień młodzieży, jak co do nierównomiernego rozkładu tych uzdolnień pomiędzy młodzieżą obu płci.

Piotr Macewicz.



ESTETYKA ROBÓT RĘCZNYCH

Wychodząc z założenia, iż kobiece roboty ręczne mają doniosłe znaczenia, jako dekoracja naszych mieszkań, dążeniem naszym powinien być wysiłek w kierunku podniesienia poziomu artystycznego tych robót.

Wartość roboty uzależniona jest od wypełnienia warunków, jakimi są: użyteczność danej roboty (rozumieję to, jako praktyczne zastosowanie), następnie pod każdym względem dobre wykonanie techniczne, wreszcie, wartość artystyczna wzoru. Muszę zaznaczyć w tem miejscu, iż uważam te trzy warunki za równorzędne.

Praktyczne zastosowanie nie nastęrcza nam wielu trudności. Moda poduszek, abażurów, makatek, firanek z ręcznymi filekami, lalek dekoracyjnych wreszcie—daje nam możliwość łatwego wyboru takiej, czy innej roboty.

Dobre wykonanie techniczne uzależnione jest od naszych uzdolnień, oraz od gruntownego zaznajomienia się z daną techniką.

Do wykonania roboty ręcznej nie przystępujemy tylko z igłą i szydełkiem, lecz z całym szeregiem przyrządów, jakimi są: pisaki do batików, maszynki do liworyzowania, itd., itd. Zapoznanie się z powyższymi wymienionymi technikami może odbywać się drogą uczęszczania na specjalne kursy, lecz jeszcze dostępniejszą drogą będzie zaznajomienie się z książkami, które dokładnie i jasno tłumaczą nam wszystkie tajniki poszczególnych technik.

Dłużej nieco musimy się zatrzymać nad zagadnieniem artystycznej wartości wzoru.

Punktem wyjścia dla podniesienia poziomu artystycznego robót ręcznych będzie w dużej mierze zainteresowanie się ze strony artystów naszymi robotami, oraz współpraca ich w zakresie komponowania wzorów o faktycznej wartości. Niemniej jednak wybór wzoru uzależniony jest od nas samych. Nasz gust decyduje o wyborze. I często, niestety, zdarza się, iż odrzucamy rzeczy dobre, a wybieramy wzory bez żadnej wartości artystycznej.

Musimy jasno zdać sobie sprawę, iż dyletantyzm w ocenianiu dzieł sztuki jest u nas wielki. Przyczynił się może do tego stan naszego szkolnictwa wczasy niewoli. Metoda nauczania rysunków polegała głów-

nie na tem, że kazano nam rysować, malować, lepić z gliny. Nie uczono nas jednak patrzeć, nie rozbudzano w nas zamiłowania i zainteresowania dla zagadnień teoretycznych.

Podchodzimy do dzieł sztuki tylko z odczuciem indywidualnym, przekreślając, że się tak wyrażę, szkielek teoretyczny, który jest właściwem oparciem dla oceny rzeczywistej.

Oddziaływanie dzieła sztuki było i będzie zawsze tem bezpośredniem porozumieniem uczuciowem artysty z widzem. Na tem właśnie wrażeniu będziemy opierać nasz subiektywny sąd. Istnieje jednak poza nami ta bezwzględna wartość, którą oceniać należy z punktu ogólniejszego, niż nasze własne „podoba się“, lub „nie podoba“.

W każdym człowieku, bez względu na jego poziom kulturalny, tkwi pierwiastek odczuwania piękna, oraz potrzeba uzewnętrznienia tychże odczuć. Jako wyraźny przykład, weźmy prymitywne wytwory plemion barbarzyńskich, u których uzewnętrznienie odczuć daje bogaty materiał kompozycyjny. (Mam tu na myśli nietylko odczuwanie piękna dzieł sztuki, lecz piękna, nas otaczającego,—piękna, które zapomocą naszych zmysłów wchłaniamy: odczuwania dźwięku, koloru, kształtu).

Należy więc rozumieć sztukę nie jako dodatek do naszego życia, lecz jako przejaw tegoż życia, jako konsekwencję naszych potrzeb rzeczywistych.

My, kładąc w naszym życiu szczególny nacisk na rozwój umysłowy, siłą rzeczy zatracamy to poczucie prymitywne, jaknajprostszego patrzenia. Dlatego też to nasze odczucie indywidualne nie wypływa z nas samych, lecz z tych przyswojonych przez nas naleciałości, jakie przyjmujemy omal że bez zastrzeżeń.

Daleka jestem od narzucania swojego smaku, lub wskazywania na wzory dobre, czy złe.

Mojem podejściem do sztuki malarskiej będzie wartościowanie pojęć malarskich — powrót do rzeczy bardzo znanych — niedość jednak przez nas samych docenianych.

Chodzi mi o usystematyzowanie i ugrupowanie tychże pojęć w szereg, ściśle się ze sobą wiążący. O podanie całego materiału teoretycznego. Zapoznanie się z nim, przetrwanie go w sobie przyczyni się niewątpliwie do rozszerzenia skali naszego patrzenia—do zainteresowania się zagadnieniami sztuki, sztuki malarskiej zaś w szczególności.

W kolejno po sobie następujących artykułach zajmę się rozważaniem pojęć malarskich, starając się w sposób jaknajbardziej prosty podać określenia słowne, oraz przykłady rysunkowe.

Kończąc dzisiejsze rozważania, zaznaczam, iż artykuł powyższy uważam jako wstęp porozumiewawczy pomiędzy mną, a temi wszystkimi czytelniczkami, którym na sercu leży podniesienie poziomu artystycznego robót ręcznych.

Wanda Młodożeńcowa.

EKONOMICZNE OPALANIE

W czasach dzisiejszych, kiedy materiały opałowe zdrożały nadzwyczajnie — wartoby zapoznać się ze sposobami zredukowania ilości zużywanego materiału opałowego — nie obniżając ciepłoty. Zadanie to jest zupełnie wykonalne: — przy zachowaniu pewnych wskazówek, ilość paliwa da się o połowę zmniejszyć.

Przedewszystkiem musimy zapoznać się ze zjawiskami chemicznymi, jakie zachodzą przy paleniu — oraz z fizycznymi własnościami różnych materiałów opałowych.

Materiałem opałowym, albo krótko—paliwem—nazywamy ciało palne, dające przy procesie spalania się taką ilość ciepła, iż opłaca się użycie go do opalania domów, fabryk, kuchni.

Materiałami opałowymi są więc: węgiel, drzewo, torf, koks, ropa naftowa, gaz ziemny, gaz węglowy, drzewny, torfowy.

Dla ogrzewania domów używamy prawie wyłącznie paliwa stałego (węgiel, drzewo, koks, torf) i o niem przedewszystkiem mówić będziemy.

Najbardziej charakterystyczną cechą wszystkich materiałów opałowych — warunkującą ich użycie do palenia — jest ich wartość opałowa, czyli kaloryczna. Jest to cyfra, wskazująca ilość ciepła, jakiej potrzeba, by 1 kg. wody ogrzać od $15\frac{1}{2}^{\circ}\text{C}$. do $16\frac{1}{2}^{\circ}\text{C}$., nazywa się to kalorją. Przypatrzmy się tedy, ile takich kaloryj wydzielają różne materiały opałowe:

antracyt	7.000—7.700 kal.
węgiel kamienny	5.000—6.500 „
koks	6.500—7.000 „
torf	3.000—3.700 „
drzewo	2.000—3.500 „

Rzecz prosta, iż paliwo jest tem lepsze, im większą wartość kaloryczną posiada.

Najważniejszym warunkiem prawidłowego sposobu opalania jest—poza racjonalną konstrukcją paleniska—zwrócenie uwagi na temperaturę otaczającego powietrza. Im wyższa jest temperatura otaczającego powietrza, tem bardziej umiarkowane winno być palenie i tem mniejszą ilość materiału opałowego należy zużyć. O ileby jednak zużyto za dużo paliwa i temperatura poszła nadmiernie w górę—należy drzwiczki paleniska otworzyć nieco, a po ochłodzeniu się pieca—zamknąć zpowrotem.

Następnie należy zwrócić uwagę na okoliczność, iż duże kawałki materiału opałowego dają stosunkowo mniej ciepła, niż tasama ilość paliwa w drobnych kawałkach. Dlaczego? Palenie jest to łączenie się węgla, zawartego w paliwie, z tlenem powietrza. Jasnym tedy będzie, iż spalanie się jest tem dokładniejsze, im większa ilość powietrza styka się z paliwem. Oczywiście, że im drobniejsze kawałki paliwa, tem

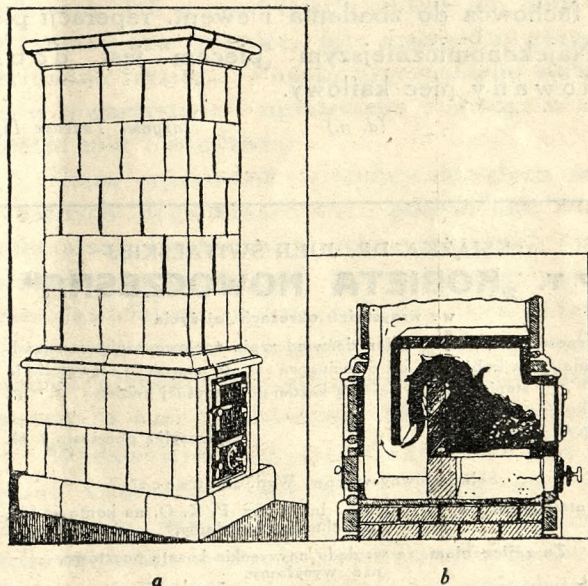
więcej powietrza z niem się styka, a zatem i spalanie jest dokładniejsze. Wynikałoby z tego, iż najlepszem paliwem jest paliwo sproszkowane. Dla palenisk fabrycznych, gdzie są specjalne urządzenia do spalania miału—opał ten jest rzeczywiście dobry; dla pieców jednak domowych jest nieodpowiedni, gdyż pomijając, że potrzebuje specjalnych urządzeń—spala się zbyt szybko, wydzielając odrazu bardzo wielką ilość ciepła. Można jednak i do opalania domowego używać nieco miału, jednak najpierw trzeba na ruszt narzucić drobnego (średnicy 4—5 cm.) paliwa.

Następnym momentem, który uwzględnić należy, jest użycie t. zw. podpałki. Im wyższa jest temperatura zapalności paliwa, tem więcej podpałki zużyć należy i odwrotnie. Podpałką jest zwykle drzewo smolne, papier lub słoma, czasami umoczone, wzgl. lekko skropione naftą. Przeciętnie podpałki potrzeba 2—10% na wagę paliwa.

Najważniejszym warunkiem dobrego i oszczędnego palenia jest należyta grubość warstwy paliwa w piecu. Gdy warstwa węgla jest zbyt cienka, będzie się on palił za prędko, piec nie zdąży się ogrzać i bardzo wiele ciepła ujdzie do komina z gazami spalania; gdy warstwa jest za gruba, spalanie nie będzie zupełne—i materiał opałowy nie będzie należycie wykorzystany.

Przy paliwie bardzo drobnym (2—3 cm.) warstwa ta ma być gruba na 5 cm.—a przy grubszym (3—5 cm.) 10—12 cm.

W piecach, urządzonych do węgla — można też i drzewem palić; warstwa drzewa może być do 30 cm. wysoka, gdyż drzewo potrzebuje mniejszej ilości powietrza do spalania, niż węgiel, a między kawałkami drzewa są przestrzenie wolne, zapełnione powietrzem, które pomaga przy spalaniu: powoduje dłuższe palenie i równomierne wydzielanie ciepła.



Rys. 1. Piec pokojowy, a—widok, b—palenisko

Po zaznajomieniu się z temi podstawowymi zasadami, przejdźmy do omawiania konstrukcji pieców, oraz zastosowania przytoczonych wyżej zasad.

Piec pokojowy (rys 1.) składa się zasadniczo z czterech części: rusztu, popielnika, skrzyni paleniskowej i kanałów dymowych. Rzecz prosta, iż dla należytego wyzyskania paliwa, musi być zachowane pewne ustosunkowanie wielkości pomiędzy temi częściami. Ogólna długość kanałów ogniowych, wzgl. dymowych, powinna być 3.5—4 m. Grubość zaś ścian pieca nie powinna być ani zbyt wielka, ani za mała. Znadto wielka grubość ścian pieca wywołuje zbyt powolne nagrzewanie się i wobec tego zbyt słabe promieniowanie, podczas, gdy gazy spalania, nagrzane do bardzo wysokiej temperatury, uchodzą do komina. Przeto użyteczność pieca jest bardzo mała. Gdy ściany pieca są zbyt cienkie, piec i powietrze otaczające nagrzewają się zbyt prędko, a następnie i szybko stygną, przeto wyzyskanie paliwa jest nieodpowiednie. Ruszt powinien mieć 6—700 cm.² powierzchni, a żeberka rusztu o 0.6—0.8 cm. od siebie oddalone. Wysokość pieca powinna stanowić około $\frac{2}{3}$ wysokości pokoju, a szerokość musi być też odpowiednia do wielkości pokoju. Piec nie powinien stykać się ze ścianą pokoju, gdyż musi mieć jaknajwiększą wolną powierzchnię promieniowania, wobec czego, o ile stoi w rogu pokoju, powinny jego ściany tylne być odległe o 18—20 cm. od przylegających ścian pokoju.

Chcąc sprawdzić, czy piec daje dobry ciąg, zapalamy świecę, zbliżamy płomień do otwartych drzwiczek popielnika. Gdy płomień odchyli się aż do położenia poziomego, to ciąg jest dobry. O ile płomień odchylił się mało, to powodem może być zatkanie komina, lub kanałów dymowych, albo (o ile piec stoi na dolnym piętrze)—nad nim są kanały dymowe zatkane—wogóle lepiej wezwać fachowca do zbadania i ewent. reperacji pieca.

Najekonomiczniejszym „piecem jest dobrze zbudowany piec kaflowy.

(d. n.)

Inżynier Tadeusz Ingwer.

PSIA DOLA U NAS I GDZIEINDZIEJ...

Kiedys, w towarzystwie, opowiadano zupełnie poważnie, że w Berlinie niektóre „zwarjowane“ niemki czyszczą swym pieskom... zęby szczoteczką.

Napewno jest w tem opowiadaniu dużo przesady, lecz sama znałam angiolkę, bardzo zresztą miłą i inteligentną kobietę, która co roku obchodziła imieniny swego czworonożnego pupila.

Mąż tej damy obchodził imieniny 1 czerwca, a pies Hektor — 8 czerwca.

Wszyscy znajomi wiedzieli o tem doskonale, i przyjaciółki pani składały Hektorkowi (najmilszemu pieskowi) upominki.

Sama zaś gospodyni, zawiązawszy solenizantowi w ów dzień niebieską kokardę, ofiarowała mu nową, własnoręcznie uszytą, poduszkę i pół kilo kiełbasy na śniadanie.

Na własne oczy widziałam tego strojnego, uszczęśliwionego solenizanta, więc myślę, kto wie?—może to i prawda, że niemki czyszczą swym faworytom zęby?!

Na każdym kroku w Berlinie napotkać można „psie łaźnie“, „psich fryzjerów“, psie lecznice“ i t. d. Są także „psie szkoły“, w których specjaliści uczą „młodzież“ rozmaitych „psich sztuk“.

Taki czworonożny młodzian, po ukończeniu kursu, zadziwia wszystkich swym dobrym tonem, układnością i zachowaniem się bez zarzutu.

Nie może być nawet mowy, aby taki powracający ze studjów pies nie słuchał swego pana, kradł przysmaki ze stołu, rzucał się z niemądrem ujadaniem na gości, rozpędzał kury, dusił króliki, czy też zachowywał się choć trochę... nieprzyzwoicie na dywanie!

Nie! nigdy!

Zawsze na swoim miejscu, uprzejmy, czysty, dobrze ułożony i jednakowo grzeczny dla wszystkich (chałaciarz, czy dziad z torbą), taki niemiecki piesek budzi uznanie i podziw.

Nie mówię już o psach z wyższem wykształceniem—o ileż wyżej stoją od naszych, rozpieszczonych ulubieńców?

Ilekcroć porównuję dobrze ułożonego psa niemieckiego, czy angielskiego—doznaję coś w rodzaju wstydu.

Zresztą, kogo tu winić należy?

W Polsce psy także należą do przyjaciół ludzi.

Lecz pojęcie przyjaźni, w tym wypadku, jest dość rozciągle... W polskim języku spotykamy cały szereg wyrazów, świadczących o dość specyficznym gatunku tej przyjaźni.

Mówi się, np.:—Zbiłabym cię, jak ostatniego psa! Dla psubrata—psia śmierć! Oto—psie życie—psi chłód, i psi głód—i t., d. i t. d.

KSIĄŻKA DR. JULJI ŚWITALSKIEJ P. T. „KOBIETA NOWOCZESNA“

we wszystkich okresach jej życia

w sposób rozumny i pełen doświadczenia życiowego ujmując zagadnienia życia kobiecego od dzieciństwa aż do starości i niewątpliwie stanie się przyjaciółką każdej nowoczesnej kobiety

CENA 6 Zł.

z przesyłką pocztową 7 zł.

Skład główny w Tow. Wyd. „Bluszcz“.

Po otrzymaniu 7 zł. przekazem, lub przez P. K. O. na konto 13.555, książkę natychmiast wysyłamy.

Za zaliczeniem, ze względu na wysokie koszty pocztowe, nie wysyłamy.

Skąd się wzięły w polskiej mowie te dziwne wyrażenia, malujące życie polskiego psa w kraju rodzinnym?

Słyszałam niejednokrotnie, że po wsiach chłopcy nie rozumieją nawet, jak można psa karmić?

— Niema co troszczyć się o psie jedzenie. Jeżeli pies mądry—to sam dba o swój wikt, a głupi—niech zdycha! — tak powiadają zamożni nawet gospodarze na wsi, którym ten niekarmiony pies pilnuje domu i dobytku we dnie i w nocy.

I rzeczywiście, wiejskie psy w Polsce żyją własnym sprytem: polują na młode zające, póki te nie podrosną i nie zmeźnieją; wykradają ptasie jajka; duszą kury, kaczki, gąski u sąsiadów it.p. A sprytniejsze—podkradają się do dworów i ciągną, co się da i gdzie się da.

To też kucharze i kucharki boją się tych głodnych złoczyńców, jak zarazy, i bezkarnie stosują okrutną, psią karę.

Niechno jaki Burek, lub Wierny, doprowadzony głodem do ostateczności, więc śmiały, aż do bezczelności—ukradnie coś z kuchni! mistrz sztuki kulinarnej, kuchcik, czy kuchta, a nawet pomywaczka mają pełne prawo oparzyć winowajcę wrzątkiem, lub uderzyć nieszczęśliwe stworzenie rozpaloną kociubą!

I nikt nie stanie w jego obronie.

Oczywiście, o takiej psiej doli — niemiecki, albo angielski pies, nawet bez wyższego wykształcenia, nie ma najmniejszego wyobrażenia!

O! gdyby ktokolwiek w Anglii, czy Germanji śmiał oblać psa wrzątkiem, lub tknąć rozpalonem żelazem, — to w obronie praw psów, zamieszkujących terytorjum Państwa Brytyjskiego, stanęłoby całe prezydium policji angielskiej, i okrutny winowajca poniósłby ciężką, zasłużoną karę.

U nas? — och, u nas!..

H. S.

ZASADY DOBREGO WYCHOWANIA

Od czasu do czasu, w dobie przedwojennej, ukazywały się w handlu księgarskim różne broszurki, traktujące mniej lub więcej rzeczowo kwestję savoir-vivre'u. Pamiętam jedną—jeżeli się nie mylę, nazywała się „Bon-ton“; stanowiła ona naszą prawdziwą uciechę: tyle w niej było mimowolnej humorystyki, tak nieprzewidzianie komiczne sytuacje życiowe, na które dawała rady i wskazówki!

Broszurki te były zbędne zupełnie: ludzie dobrze wychowani od dziecka mieli wpojone, wszczepione jasne pojęcie o tem, co uchodzi, a co nie uchodzi; książeczki wsiąkały gdzieś pomiędzy drobno-miasteczkową ludność, pomiędzy niższą administrację po majątkach, były tam czytowane z namaszczaniem, może nawet starano się z nich zrobić użytek, może nawet przyczyniły się do podniesienia poziomu życia towarzyskiego w jakichś Pipidówkach,—mówić o nich serio, a tembardziej przywiązywać do nich większą wagę — nikomu nie przychodziło do głowy.

Inaczej się ma rzecz dzisiaj. Wojna światowa i rewolucja tak zmieniły stosunki ludzkie, że całe szeregi ludzi świeżo wzbogaconych, albo doszłych niespodziewanie do wysokich stanowisk urzędowych, nie posiadają właśnie tych elementarnych zasad współżycia z ludźmi, do którego dawniej przygotowywało staranne domowe wychowanie.

Dobłą cechą tych ludzi jest już to, że czują potrzebę uzupełnienia swoich, w tym kierunku, braków i radziby zaczerpnąć potrzebnych wiadomości. Setki i tysiące Nowobogackich i nie noszących specjalnej, ogólnej nazwy dygnitarzy, biorą lekcje tańca, aby się nauczyć chodzić, ruszać, witać; lekcje francuskiego, aby móc porozumiewać się w towarzystwie międzynarodowym, lub w podróżach; ubiera ich odpowiednio do stanowiska krawiec, lub modystka; czesze, goli, perfumuje fryzjer... — nauki przyzwoitego zachowania się w towarzystwie — uprzejmego i miłego w domu — jeszcze nikt nie udziela.

Krażą wprawdzie w stolicy dowcipne anegdoty o różnych dygnitarzach i ich połowicach, o różnych potentatach finansowych, ich magnifikach i progeniturze, i o poświęcających się ich tresurze zubożałych przedstawicielach ancien régime'u, — to jednak kwestji nie rozstrzyga. Jak wielu innych rzeczy, tak i umiejętności przyzwoitego obcowania z ludźmi trzeba się nauczyć, a więc trzeba mieć skąd się nauczyć.

Wydawnictwo „Życie Praktyczne“ ma wkrótce wydać książeczkę, poświęconą umiejętności współżycia z ludźmi. Wyjdzie ona pod tytułem „Umiejętność zachowania się w domu i w świecie“ i będzie poważnie i rzeczowo,—bez gmatwania niepotrzebnymi przewidywaniami nieprawdopodobnych sytuacji, — uczyła

KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ
WSPÓLPRACOWNICZKĘ DZIAŁU
ROBÓT W „BLUSZCZU“

INFORMACJE TELEFONICZNE

DO G. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP. TEL. 273-34.

dwóch rzeczy zasadniczych, a raczej dwóch rodzajów uprzejmości: uprzejmości i dobrego wychowania w stosunkach z ludźmi obcymi, że tak to nazwę: etykiety w życiu publicznym—i uprzejmości stokroć potrzebniejszej: dobrego wychowania w życiu codziennym, rodzinnym—straszenie u nas dotąd nieraz zaniedbywanej — mówię o stosunkach powojennych.

Że taka książka jest koniecznie potrzebna, że znajdzie masę czytelników—jest to rzeczą niewątpliwą. I niejedna tylko ta książka: powstaną szeregi innych, traktujących ten temat, tak bardzo na dobre.

Oto leży przedemną spora książka, wydana pod tytułem: „Zasady i Nakazy Dobrego Wychowania“ dalej według zwyczajów współczesnych opracowali: Marja Vauban i Michał Kurcewicz. Dlatego wypisuję cały ten tytuł, że te „zwyczaje współczesne“ tłumaczą mi niektóre dziwne polecenia, na przykład nieskładania pestek na talerz sąsiadki przy jedzeniu wiśni, lub czereśni, nie wstawania od stołu podczas posiłku, zanim gospodyni nie poda do tego hasła. Poza temi drobnymi usterkami książka daje całokształt umiejętności przyzwoitego zachowania się we wszystkich, dających się przewidzieć, sytuacjach życiowych. Podnosząc, jako cechy człowieka dobrze wychowanego, w pierwszym rzędzie uprzejmość, prostotę, naturalność, dyskrecję, skromność, opanowanie, słowność, — daje następnie wskazówki odpowiedniego ubierania się w rozmaitych okolicznościach, poruszania się, sposobów witania się z rozmaitemi kategorjami znajomych towarzyskich i służbowych.

Specjalna uwaga poświęcona jest przyzwoitemu zachowaniu się przy stole i przy jedzeniu w ogólności. Ta strona u ludzi nowych specjalnie szwankuje. Kto z nas chociaż raz w życiu nie słyszał bełkotania człowieka z napchanymi ustami, mlaskania przy daniu smakującym, lub głośnego wciągania zupy, nie mówiąc o nożu, wędrującym do ust naprzemian z widelcem, o braniu z półmiska własnym widelcem, lub łyżką? Nieumiejętne obchodzenie się z nieznanymi pokarmami może być posunięte niesłychanie daleko. Na własne oczy widziałam, jak dwaj nasi „suwereni“, siedząc na werandzie cukierni, zabrali się do podanej limonjady w taki sposób, że naprzód zjedli lód i cytrynę, poczem, zamiast ciągnąć płyn przez słomki, dmuchali w nie tak energicznie, że pozalewali nie tylko siebie, lecz i siedzące przy sąsiednich stolikach towarzystwo.

Kolejno znajdujemy cenne wskazówki dla pałacy i dla panów w towarzystwie pań. Kobiety, szczególnie kobiety samodzielne, tak chętnie podkreślające swe niedbanie o formy i pozory, mają też ładny rozdział dla siebie.

Kończą książeczkę obyczaje wielkoświatowe i dyplomatyczne, stosunki urzędowe, stroje obowiązujące i wskazówki pozytywne, co do korespondencji.

Pani Elżbieta.



RYBY MARYNOWANE PO GRECKU

Można na to użyć wszelkich niedużych ryb: małych szczupaczków, sielawek, stynek, świeżych śledzi i innych, używanych zwykle do smażenia. Dowolną ilość takich ryb, oczyszczonych, osolonych, utarczanych w mące, lub bułeczce, usmażyć na maśle, szmalcu, lub oleju. Poszatkować cienko marchewkę, pietruszkę, seler, por, włoską kapustę, zalać wrzątkiem tylko tyle, aby objęło, gotować wolno, aż jarzynki zaczną mięknąć; dodać dużo pokrajanej cienko cebuli, parę łyżek dobrej oliwy, pieprzu, ziela, listka, poddusić jeszcze; nakoniec dodać mocnego octu do smaku, zagotować raz jeszcze i zalać tą gorącą marynatą ułożone na salaterce lub w garnku ryby. Marynaty powinno być na wagę tyleż, co ryby. Stanowi ona sama przez się smaczną przekąskę. Ryba, tak zamarynowana, może stać zimą dziesięć dni, do dwóch tygodni. Podając, układa się rybki na półmisku i pokrywa każdą grubą warstwą jarzynek.

OZÓR NA ZIMNO

Ozór peklowany, lub świeży, ugotować jak zwykle, dodając wszelkiej włoszczyzny, używanej do rosółu. Gdy miękki, wyjąć, natychmiast ściągnąć zeń skórki, włożyć napowrót w stygnący rosół i wystawić na chłód, aby zastygł jaknajprędzej. Przygotować garnitur, składający się z rozmaitych, ładnie pokrajanych, gotowanych jarzynek, między którymi nie powinno braknąć groszku, konserwowanego w Wecku, lub w puszcze (latem—świeżego). Trzy szklanki smaku, w którym się gotował ozór, zaprawić sześcioma, lub siedmioma listkami żelatyny, kilkoma kroplami karmelu, dla nadania złocistego koloru. Zupełnie zimny ozór, krajany w cienkie plastry, układamy na środku półmiska, wkoło dajemy różne jarzynki, mieszając ładnie kolory. Wkońcu zalewamy półmisek stygnącą już galaretą, tak, aby ozór był nią pokryty, i wynosimy na chłód. Do tego podaje się chrzan z octem, lub chrzan z octem i ze śmietaną. Z jednego dużego ozora można ułożyć dwa średnie półmiski, oczywiście, biorąc podwójną ilość jarzynek na garnitur i galaretę do polewania. Dobre danie na kolację wieczorową, lub do zimnego bufetu.

KWICZOŁY NA GRZANKACH

Tuzin kwiczolów oskubać z piórek; z wnętrzości odrzucić tylko kiszeczki, przechowując starannie wątróbki, oczyszczone żołądki i serca; główek i łapek też nie odcinać. Umyć je prędko, nie mocząc długo; każdego ptaszka zawinąć w cienki płatek

słoninki, obwiązać nitką i udusić na wolnym ogniu, nie wysuszając nadto, w paru łyżkach szmalcu lub masła. Długą bułeczkę (t. zw. baton) okroić ostrym nożem z wierzchniej skórki i pokrajać na dwucentymetrowe kawałki; wydrążyć nieco z jednej strony; aby się uformowało zagłębienie; zrumienić z obu stron na maśle lub fryturze. Ułożyć na metalowym, lub innym ogniotrwałym półmisku. Drobnio usiekać wnętrze ptaszków, zrumienić je w łyżce masła i włożyć w środek grzanki na koniec noża tej masy. Na to ułożyć upieczone ptaszki, ładnie podwijając główki pod skrzydełka. Każdego ptaszka przykryć płatkami słoniny, z którym się dusił, i połączyć łyżką sosu, zrobionego z tłuszczu, w którym się piekły ptaszki, maki, rosołu, lub wody, z dodaniem odrobiny pieprzu i łyżki śmietany; wstawić półmisek na chwilę w piec i podać na stół ptaszki bardzo gorące. Wykwintna potrawa do dłuższego obiadu lub kolacji.

GALARETA Z OWOCAMI

Wziąć kilo lub więcej mieszanych owoców, (dwie lub trzy puszki półkilowe), naprzykład gruszek, moreli, lub renklod i czereśni. Sok z nich wylać do rondelka, rozprowadzić trzema szklankami wody, dodać szklankę cukru, sok z dwóch cytryn, trochę skórki dla zapachu, zagotować; jeśli nie dosyć czysty, sklarować białkiem i przecedzić. Rozpuścić w tym soku w pierw wymoczone w zimnej wodzie 13 — 15 listków żelatyny (w tem jeden listek różowej), dodać kieliszek rumu, lub araku, i zastudzić w dużej formie z otworem w środku. Po sześciu godzinach najmniej, aby nie tylko zastygło, lecz i dobrze stężało, wyrzucić galaretę na półmisek. Napełnić otwór we środku i ubrać wkół galaretę ładnie zmieszaniem owocami, otoczyć owoce drobnymi ciastkami, jak to; makaroniki, wiórki, pianki i t. p. i zaraz podawać, aby galareta się nie rozgrzała,

CIASTKA „MURZYŃKI“

Zrobić ciasto, jak na zwykły biszkopt, to jest utrzeć 10 deka cukru-pudru z sześciu żółtkami, białka ubić na sztywną pianę i wymieszać z żółtkami, podsypując jednocześnie dziesięć deka pszennej i pięć deka kartoflanej mąki. Na blachę, posmarowaną masłem, wyciskać przez tutkę papierową duże, jak pół jabłka, okrągłe ciastka. Upiec w średnio gorącym piecu. Gdy nawpół przestygną, zdejmować ostrożnie, ostrym nożem z blachy. Dziesięć deka cukru utrzeć z dziesięciu deka masła do białości, dodać pięć deka czekolady utartej, rozpuszczonej w łyżce mleka; masą tę grubo smarować spody ciastek i sklejać je po dwa. Zagotować dziesięć deka utartej czekolady, dziesięć deka cukru, łyżkę mąki i pół szklanki mleka; dodać pięć deka śmietankowego masła; maczać w tej gorącej polewie ciastka i układać do zupełnego zastygnięcia, na marmurową płytę, posmarowaną lekko masłem, lub oliwą.

MAŁE „CAKES“ (KEKSY)

Ćwierć kilo cukru, trzy jaja, ćwierć kilo mąki, odrobinę wanilji, szklankę mleka utrzeć na masę, dodać łyżeczkę amonjaku. Wsypać garść sporą czarnych rodzenek-koryntek, kilka drobnio usiekanych migdałów, skórkę smażoną z pół pomarańczy, drobnio usiekana; dodać drugą szklankę mleka i drugie ćwierć kilo mąki, postawić na chłodzie na 24 godziny. Po upływie tego czasu układać małe kupki ciasta na blasze, posypanej mąką, i upiec w dobrze gorącym piecu. Można też do tego ciasta zamiast mleka dodać drugą szklankę śmietany, lub 10 deka utartego na śmietanę masła, a ciastka będą kruchsze.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Pierwszeństwo perełkom incassables odebrały paciorki kryształowe w różnych kolorach. Ładnie rżnięte, mienia się, jak brylanty. — I one jednak ustępują przed różowawo zabarwionymi, naśladującymi korale, paciorkami modnymi dlatego, że koral jest modny. Kto ma jakiegokolwiek zabytki koralowe, niech je obecnie wykorzysta, bo stanowczo wracają do mody — a od pomysłowości ich właścicielki zależy, jak je zużytkuje.

* * *

Jeśli która z pań posiada kilka sznurków drobnych koralu, trzeba je przewlec na jeden długi i używać jako bardzo modnego paska. Na różowej, lub białej crêpe de chiné'owej sukni ślicznie będzie wyglądał, zwłaszcza, jeżeli damy mu ładną, choćby z imitacji koralu — klamerkę.

PALĄCA SPRAWA

Kwestja smukłej sylwetki jest dla współczesnej elegantki kwestją życia i śmierci. Przytem sylwetki smukłej, a nie—sztywnej. Odrzuciłyśmy gorset—narzędzie średniowiecznych tortur, ale pas higieniczny jest nam niezbędny. Nowoczesny pas „Anny“ zwalcza skutecznie nadmierną tuszę, wpływa dodatnio na linję figury, czyniąc ją wdzięczną, wytworną i lekką. Kompozycje nowoczesnych pasów i napiersników „Anny“ są wynikiem długoletnich fachowych studjów nad różnorodnymi kształtami figury. A zatem każda z pań, chcąc ładnie wyglądać w wymyślnych kreacjach paryskich krawców, nie powinna odkładać na potem wizyty na Chmielnej 28 u A. A. Masłowskich.

Dr. med. J. ŚWITALSKA

ORDYNUJE W CHOROBAH SKÓRNYCH I KOSMETYCE
LECZNIOZEJ ODZIENIE OD 5 DO 7. KRUCZA 31, M. 3.

KORESPONDENCJE

Pani M. S. — Krzepczów. Adresy biur ubezpieczeniowych: „Omnium” — Warecka 1. „Silesia” — Kredytowa 1. Warszawskie Tow. Ubezpieczeń — Jasna 4. Tow. „Snop” — Traugutta 3.

Pani J. G. — Słobódka. Jeżeli noże utrzymane są należycie, to jest nie moczone w gorącej wodzie, a czyszczone po każdym użyciu na desce, obitej surową skórą, zapomocą proszku do czyszczenia noży, lub miazgę utłuczonej i doskonale przesianej cegły — plam mieć nie powinny — chyba że zardzewiały. W takim razie trzeba spróbować starcia ich papierem szmerglowym, a jeżeli i to nie pomoże, trzeba oddać do nożownika, a po doprowadzeniu do porządku, pilnować, aby wypadek taki się nie powtórzył.

Pani M. L. — Ruzdwiany. Wkrótce wyjdzie zeszyt „Życia Praktycznego” o przygotowaniu wędlin; — w najbliższych numerach „Bluszczu” podamy również sposób przygotowania takiej wędliny; — pozatem stale podajemy w naszych pismach przepisy na solenie, marynowanie i wędzenie mięs.

Pani Z. M. — Łódź. Środków, o które Sz. Pani zapytuje, dostanie Pani w każdym przyzwoitym składzie aptecznym.

Przy dzisiejszej modzie krynolek, najodpowiedniejszą będzie tafta, ładnie układająca się w szerokich spódniczkach.

Pani M. M. — Płowce. Wszelkiego rodzaju kamizelki na drutach, szydełkiem, tkane etc. są bardzo modne. Na odmrożenie, o ile niema jeszcze ran, moczyć nogi w gorącej wodzie i smarować maścią na odmrożenie, fabryki „Motor”.

Pani Z. K. — Radom. Pensjonatów poważnych mamy dużo w Warszawie, ceny jednak są dość wysokie i nigdzie nie przyjmą bez życia. Może najlepiej będzie zwrócić się do Tow. Ochrony Kobiet, (Mazowiecka 11), które będzie mogło udzielić najlepszych informacji w tym kierunku.

Pani K. P. — Wejherowo. W kwestji wiadomej niech Sz. Pani zwróci się listownie do zakładu „Macierzyństwo” w Warszawie, Hoża 76, albo do domu wychowawczego imienia ks. Baudouina, Nowogrodzka 75.

Pani L. L. — Wielka Klonia. Adres jedynej w Warszawie fabryki tego rodzaju jest: Fedorowicz, ul. Kościelna Nr. 8, fabryka form drewnianych i metalowych do kapeluszy.

Książkę, o której Sz. Pani wspomina, dostać można jedynie w redakcji „Przeglądu Intendenckiego”. Koszykowa 79, w Warszawie

Czytelniczce z Gniezna. Solbar jest u nas zupełnie nieznanym. Musi to być środek niemiecki, którego nasi ogrodnicy nie używają. Wszyscy zalecają jedynie zmywanie roślin wodą z mydłem, co dla asparagusa jest prawie niemożliwe. — i skrapianie gałązek odwarem tytuniowym, rozcieńczonym wodą.

Pani K. Ż. — Mikulińce. Lekcyj artystycznego tkactwa bez warsztatu udzielają panie: Ukielska, ul. Sułkowska 4, i Dobrowolska, ul. Górnośląska. O ile nauka pobierana jest w komplecie co najmniej z dziesięciu osób, godzina kosztuje 2 zł. 50 gr.; pojedynczo płaci się za 1½ godz. 10 zł. W komplecie nauka trwa co najmniej 3 miesiące; pojedynczo czas wprawienia się zależy od zdolności uczącej się osoby

SZKOŁA HODOWLI DROBIU C. T. R. W JULINIE

IM. HELENY PADEREWSKIEJ

pocztą i stacją kolei Łochów, woj. Warszawskie

rozpoczyna w dniu 8 lutego 1928 r. 9-miesięczny kurs nauki. Program obejmuje teoretyczną i praktyczną naukę hodowli drobiu, a także dział gospodarstwa domowego i ogrodnictwa. Przyjmowane są kandydatki z wykształceniem w zakresie 6-ciu klas szkoły średniej. Wpisowe jednorazowe wynosi 25 złotych, opłata za naukę, wraz z utrzymaniem w internacie szkolnym — 90 złotych miesięcznie. — Podania o przyjęcie należy kierować do Zarządu Szkoły, lub do Wydziału Oświaty Rolniczej C. T. R. (Warszawa, Kopernika 30), dołączając: krótki życiorys, metrykę, świadectwo szkolne, oraz zobowiązanie rodziców lub opiekunów do regularnego wnoszenia opłat szkolnych. Uczennice winny przywieźć pościel białą i osobistą i pościelową, ubranie codzienne do pracy i świąteczne.

„Pieczywo domowe“

UCZY, JAK PIEC W DOMU BUŁKI, CHLEB, CIASTO I CIASTKA

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„O przyjęciach i stole jadalnym“

ZASADY WYTWORNEGO NAKRYWANIA STOŁU DLA GOŚCI I W DNIU CODZIENNYM

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju, oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.